

UNIVERSITÄT WÜRZBURG

BOLESŁAW PRUS

# SIEROCA DOLA



258

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY

Bolesław Prus

# SIEROCA DOLA

# Spis treści

## STRONA TYTUŁOWA

I. JAŚ WYJEŻDŻA DO KREWNYCH

II. JAŚ ZOSTAJE SYNEM GUWERNANTKI

III. JAŚ ZACZYNA DZIWIĆ MATKĘ

IV. JAŚ Z MATKĄ JADĄ NA WŁASNY CHLEB

V. CO SIĘ STAŁO W WARSZAWIE

VI. PEWIEN TYP LUDZI UCZCIWYCH

VII. ZMIANA LOSU

VIII. NOWY PRZYJACIEL

IX. FIGIEL POCZCIWEGO JĘDRUSIA

X. DZIEJE LISTU

XI. OPUSZCZONY

XII. PRZYJACIEL

## I. JAŚ WYJEŻDŻA DO KREWNYCH

Mój przyjacielu! Zarzucasz mi, że mam słabość do opisywania kłopotów ludzi uczciwych i radości hultajów; mówisz przytem, że widzę świat w ciemnych barwach. Ale robię to tylko dla oryginalności. W gruncie rzeczy sam nie wierzę w to, co piszę. Świat jest oceanem szczęścia — to wiadomo. Wszyscy, którzy pływają po nim, są bardzo zadowoleni, i — mają słuszość. Że się ten i ów zachłysnął, a ktoś inny utonął — to nie argument.

Z tej wychodząc zasady, postanowiłem zrobić się optymistą. Rzecz nader łatwa: potrzeba tylko, oglądając fakty, przechodzić na drugą stronę.

Ot i w tej chwili: alboż nie jesteśmy szczęśliwi? Zimno wprowadzie na dworze, ale tylko na naszej półkuli. Gdzie indziej klimat jest umiarkowany, a nawet tak gorący, że na wolnem powietrzu mogą piec chleb, naturalnie ci, którzy mają mąkę. Zresztą i zimno nie psuje ludziom humoru. Cieszy się składnik węgla, że będzie robił interesa; cieszy się pająk, że ostatnią w tym roku muchę złapał, a i mucha brzęczy tak, jakby była zupełnie kontenta.

Śmierć, naprzykład, uważają ludzie za najgorszy wypadek. Jest to przesąd, o czem najlepiej przekonał się pan Wincenty. Był on małym urzędnikiem, pobierał kilkaset rubli pensji, a śmierci bał się jak ognia. Jednak w chwili stanowczej, nie znać było na nim wielkiego wzruszenia. Machnął ręką, jakby chcąc powiedzieć: „Głupi świat!...” — i umarł. Umarł tak dobrze, jak najznakomitszy aktor, ba!... nawet lepiej, bo nie wstał, choć go wywoływali.

Co prawda, nie wywoływała go publiczność, tylko własna żona i trochę syn, Jaś. Ale jego można nie liczyć, bo miał dopiero trzy lata.

Przy tej sposobności, pani Wincentowa poznała całą dobroć ludzkiej natury. Prawie wszyscy koledzy nieboszczyka zeszli się na pogrzeb. Zmarły wprowadzie za

każdego odrabiał zaległości, dłużej przesiadywał w biurze, brał papiery do domu. Ale i tego liczyć nie warto. Zato żadnemu z nich nie oddał ostatniej chrześcijańskiej posługi, a oni mu ją przecie oddali!...

W ciągu reszty życia pozostało dla pani Wincentowej tajemnicą, jakim sposobem wróciła z cmentarza do domu? Okoliczność ta była dowodem litości pewnego pana Karola.

— Słowo honoru daję! — mówił do swoich znajomych pan Karol — sam ją odwiozłem i jeszcze cztery złote za dorożkę zapłaciłem. Ale ja się nie lubię chwalić!...

Wróciwszy do domu, pani Wincentowa załamała ręce i szepnęła z rozpaczą:

— Co ja tu pocznę nieszczęśliwa, ja — i... ten biedny sierota!

Mówiąc to, patrzyła na Jasia, który zmęczony, spłakany (choć płakał, sam nie wiedząc z jakiego powodu), upadł na kanapkę w żałobnej sukience i twardo zasnął.

Tymczasem, można się było smucić, ale nie wypadało rozpaczać. Rozpacz zdradza małe zaufanie do miłosierdzia ludzkiego, no! a ludzie są przecie miłosierni.

Zaraz w kilka dni po nieszczęściu, zjechali do Warszawy krewni zmarłego: pan Piotr i pani Piotrowa.

Pan Piotr, jako mężczyzna i człowiek praktyczny, wziął się do taksowania i sprzedawania ruchomości. Pani Piotrowa zaś, aby nie przeszkadzać mężowi i popoľgować własnym uczuciom, usiadła przy wdowie i poczęła płakać z nią — na współkę. Popłakawszy, ugotowała kawy na maszynie, napiła się sama, nakarmiła wdowę, sierotę i swego męża pana Piotra, a potem — popłokawszy szklanki i łyżeczki, wzięła się znowu do płaczu.

Taki podział zajęć i boleści zbawiennie oddziaływał na wdowę, o czym przekonywamy się ze słów samego pana Piotra.

— Uspokoila się biedna Zuzia!... — rzekł raz do swej małżonki.

— A tak!... A wszystko to zawdzięcza twojej przytomności umysłu — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Ale gdzie tam!... Uspokoila się, widząc twoje współczucie — twierdził pan Piotr.

— Powiadam ci, mężuniu, że to twoja praktyczność...

— Dosyć tego! — oburzył się pan Piotr. — Powiedziałem, że tyś ją pocieszyła i basta!...

Ponieważ małżonka winna być współmałżonkowi uległą, pani Piotrowa zatem głośno przyznała słuszność twórcy swojej rodziny. W duszy jej jednak pozostały pewne wątpliwości, dla usunięcia których, (gdy mąż wyszedł), spytała pani Wincentowej, ucałowawszy ją poprzednio: — Powiedz mi też, kochana Zuziu, które z nas dwojga więcej cię uspakaja?... Prawda, że Piotruś?...

Wdowa w odpowiedzi załała się łzami.

Stan jej coraz głębsze współczucie począł budzić w krewnych. Przyjechali tu bez żadnego ściśle określonego zamiaru, lecz zbadawszy rzecz na miejscu, przekonali się, że wypada coś zrobić.

— Biedactwo!... — rzekł pan Piotr. — Te kilkaset rubli, ze sprzedaży ruchomości, wystarczą jej najwyżej na pół roku.

— Nawet i na tyle nie wystarczą!... — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Trzebaby ją wziąć do nas...

— I dać jakieś zajęcie.

— Tak!... Poprostu dla rozerwania myśli — zakończył pan Piotr.

Skutkiem tego, pani Wincentowa, wraz z Jasiem, wyjechała na wieś. Państwo Piotrowie mieli troje dzieci i przy nich guwernantkę. Po przyjeździe jednak z Warszawy odprawili guwernantkę, którą zastąpiła wdowa: poprostu dla rozerwania myśli. Ponieważ jednak pani Wincentowa tylko dnię przepędzała na nauce dzieci, a ranki i wieczory na łzach — krewni więc, dla ostatecznego uwolnienia jej od smutku, odprawili klucznicę.

Istotnie, przy pełnieniu tych podwójnych obowiązków i czuwaniu nad własnym dzieckiem, wdowa nietylko o smutku, ale nawet o samej sobie zapomniała.

Zresztą, było jej tam dobrze, jak w raju. Dla siebie i syna miała jedzenia po uszy. Do gości wychodziła, o ile czas pozwalał i ile razy chciała. Jako krewna, pensji nie brała żadnej; państwo Piotrowie nigdyby jej w taki sposób nie uchybili. Ale zato, ile razy potrzebowała czy to dla siebie, czy dla Jasia, na sukienkę, koszulę, albo trzewiki, dość jej było powiedzieć tylko słówko:

— Kochany wuju!... Możeby wuj był łaskaw dać mi dziesięć rubli...

— Naco to, kochana Zuziu?... — pytał pan Piotr.

— Chciałabym... — mówiła cicho, ze spuszczonej oczyma — chciałabym kupić Jasiowi płótna i korciku na ubranie...

— Owszem, kochana Zuziu!... Przecieżeś ty nasza krewna, choć daleka, a on sierota... Ja wprawdzie nie wymawiam, zawsze jednak radziłbym oszczędność. Dlatego zamiast korciku, kup mu barchanu, a i płócienko może być trochę grubsze. Widzisz, ledwie półtora roku upłynęło od śmierci męża, a już wydałaś te kilkaset rubli, którem ci wydreptał... To ile chcesz, ile?...

— Dziesięć rubli... — szepnęła, tłumiąc westchnienie.

— Naco tyle?... Dosyć będzie siedem rubli!... Ja wprawdzie nie żałuję, ale żebyś, moje dziecko, wiedziała, jak teraz o grosz trudno! — mówił pan Piotr, wydobywając powoli najbardziej zatłuszczone papierki.

Serce człowieka składa się, jak wiadomo, z dwu części: w jednej mieszczą uczucia dla siebie, w drugiej dla bliźnich. Otóż pan Piotr, pomimo wrodzoną dobroć i praktyczność, ową drugą połowę serca miał nieco skostniałą. Z tego powodu kochał własne cnoty a nienawidził wad cudzych; czuł głęboko własne przykrości, lecz o tych, które innym wyrządzał, miał wyobrażenie dosyć słabe.

Pani Wincentowa, poznawszy psychiczną organizację krewnego, straciła śmiałość i przywiązanie do swego opiekuna. Coraz rzadziej odwoływała się do niego z prośbą o pieniądze, a coraz częściej łatała ubranie swoje i syna.

Tymczasem Jaś rósł i, jak mówił pan Piotr, hartował się i odzwyczajał od zbytków. Miał już lat pięć, chodził w lecie boso, tudzież w barchanowych majtkach, które wraz z kaftanikiem, z tyłu zapinanym, stanowiły jedną całość. Zato w dni świąteczne nosił przykrótkie nieco, ale porządne ubranie po młodszym od siebie synu pana Piotra.

Jaś był dzieckiem potulnym, uczył się i słuchał. Ludzie obcy, jak naprzykład goście i folwarczna służba, mniemali, że chłopczyk ten był nierównie lepszy od dzieci pana Piotra i jego małżonki. Na nieszczęście, pan Piotr, odznaczający się, jak wiadomo, trzeźwym umysłem, dopatrywał w nim wiele wad. Według jego opinii, Jaś był dziki, bo uciekał przed gośćmi, był skryty — bo niewiele mówił, a choć robił, co mu kazano, musiał to zapewne robić niechętnie. Najbardziej potępiał go pan Piotr za zaciętość.

— Jeżeli mego chłopca wezmę za ucho — mówił — to on zaraz krzyczy. Tego nieraz porządnie oćwiczę, a on ani piśnie. Najwięksi zbrodniarze odznaczali się w dzieciństwie takim uporem!...

Najgorszem było to, że Jaś — kłamał. Pewnego razu, synek państwa Piotrów przyleciał pędem z obory, wołając:

— Tatku!... tatku!... ja nie byłem w oborze, ja cieląt nie wypuściłem!

— To pewnie Jaś wypuścił! — rzekł surowo pan Piotr. — Prawda, synku, że Jaś? Zdziwiony synek milczał.

— No, przyznaj się, synku — mówił dalej ojciec — prawda, że Jaś wypuścił?

— A Jaś, proszę tatki, Jaś! — odparł chłopiec, który przed oczyma duszy ujrzał w tej chwili widmo pięciopalczastej dyscypliny na sarniej nóżce.



Oburzony pan Piotr pobiegł szukać sprawcy złego i znalazł go w ogrodzie pod drzewem, gdzie Jaś spał, albo przynajmniej udawał, że śpi. Ale przenikliwy opiekun zrozumiał podstęp; porwał więc chytrego chłopca za ramię i krzyknął:

— Ty wypuściłeś cielęta?

Zbudzony Jaś szeroko otworzył oczy, wybornie udając zadziwienie i przestрах. Taka wielka bezczelność w tak małym chłopcu zrewoltowała cnotliwą duszę pana Piotra.

— O, sprawięz ja tobie łaźnię, hultaju! — mówił opiekun, ciągnąc go do swego pokoju.

— Ja nie wypuściłem cieląt!... Ja spałem w ogrodzie!... — wołał Jaś, zanosząc się od płaczu.

Ponieważ pani Wincentowej w tym czasie w domu nie było, a pani Piotrowa nie miała odwagi wstawiać się za przewrotnym chłopcem, Jaś więc dostał porządne cięgi. W kilka dni potem okazało się, że nie Jaś, lecz synek pana Piotra cielęta wypuścił, ale — już było za późno.

Małe to, jak mówił pan Piotr, nieporozumienie doreszty zniechęciło biedną wdowę. Stała się ona smutniejszą, niż kiedykolwiek, zżółkła, podupała na zdrowiu i po całych dniach myślała o tem tylko, ażeby jak najrychlej wydobyć się z objęć pocziwych krewnych. Między nią a opiekunem długi czas toczyła się głucha walka, której widocznymi objawami były wybuchy gniewu ze strony pana Piotra i łzy wdowy.

## II. JAŚ ZOSTAJE SYNEM GUWERNANTKI

Częstymi gośćmi w domu pana Piotra bywali państwo Anzelmowie. Widzieli oni, że pani Wincentowa doskonale uczy dzieci, że jest cicha, pracowita i zręczna, i że pan Piotr, pomimo całą dobroć serca i przytomność umysłu, nie należy do smacznych opiekunów. Litowali się oni nad losem wdowy, a ponieważ sami mieli chłopczyka i trzy córeczki, więc umyśleli wziąć panią Wincentową do siebie.

Układ zrobiono pocichu. Że jednak pani Wincentowa bała się zawiadomić o nim krewnych, więc wyręczył ją pan Anzelm.

— Cobyś też powiedział, kochany sąsiedzie — rzekł pewnego razu do Piotra — gdybyśmy ci zabrali twoją kuzynkę?

— Co wam tam po niej! — odparł Piotr, pogardliwie machnąwszy ręką.

— Byłaby u nas tak samo guwernantką, jak i tutaj. Pan Piotr poprawił wąsa i z pod oka spojrzął na mówiącego.

— Ona przecież u nas nie była guwernantką — rzekł — tylko... krewną.

— Dałbym jej dwieście rubli! — ciągnął dalej Anzelm, nie patrząc na sąsiada.

Pan Piotr oburzył się.

— Próżne gadanie! — zawołał z gniewem. — Onaby od nas nie odeszła za żadne pieniądze...

— Odejdzie! odejdzie!... A zresztą możemy ją zapytać.

— Dobrze... zapytajmy! — odparł zirytowany pan Piotr, trochę bojąc się, a trochę nie dowierzając temu, ażeby pani Wincentowa mogła okazać się niewdzięczną.

Niebawem wezwano biedaczkę, która, ku najwyższemu zdziwieniu pana Piotra, wyznała, że dom jego może opuścić.

— Co to znaczy, Zuziu? — krzyknął krewny. — Czy było ci u nas źle?...

— Owszem, dobrze... — odparła zmieszana — ale u pana Anzelma będę mieć pensję...

— No, jeżeli chodzi o stałą pensję — poprawił krewny — to mogę ci odtąd płacić sto pięćdziesiąt rubli rocznie.

— Bardzo dziękuję wujowi, ale... już umówiłam się z panem Anzelmem...

Ponieważ krewny nie odpowiedział nic, zatem pani Wincentowa pocichutku wysunęła się z pokoju. Wówczas pan Piotr wybuchnął:

— Ślicznie sąsiad postępujesz ze mną! — zawołał. — Godzi się to intrygować między familją?... Świetny los zrobi u sąsiada, że będzie guwernantką...

— Tutaj była guwernantką i klucznicą! — odparł popędliwie Anzelm.

— Co to: klucznicą?... była jak u siebie, panią w domu!... Umarłaby z głodu po śmierci męża, gdybyśmy jej nie przygarnęli... Zmarnowałyby rzeczy, gdybyśmy ich dobrze nie sprzedali!

— Cóż z tego, żeś pan sprzedał rzeczy, kiedy już nie ma pieniędzy.

Ostatnia uwaga najdotkliwiej zraniła pana Piotra, który, zapominając o prawidłach gościnności, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami i zostawił sąsiada samego. Pana Anzelma wcale to nie obraziło; siadł w tej chwili na bryczkę i pojechał do domu, myśląc z rozkoszą, że pomógł prawdziwemu nieszczęściu.

Teraz dopiero, wprowadzie na bardzo krótko, zmienił się los wdowy i sieroty w domu krewnych. Pani Piotrowa obsypywała pieśczoćkami kochaną Zuzię i Jasia, któremu pan Piotr chciał natychmiast sprawić nowe ubranie, a matce płacić odtąd dwieście rubli. Pocziwy krewny robił to bardziej dla uniknięcia skandalu i zatrzymania pożytecznej Zuzi, aniżeli z uczuciowych powodów.

Ale pani Wincentowa, mimo uległości i szacunku dla opiekunów, uparła się. Widocznie nie umiała ocenić przywiązania krewnych. Po czteroletnim pobycie między nimi, dom ten wydał się jej nieznośnym. Nie było prawie kąta, gdzieby nie płakała nad sobą albo synem — nie było pokoju, w którymby nie widziała kwaśnej miny pani

Piotrowej i ponurego wzroku pana Piotra — nie było pola i ogrodu, po którymby Jaś jej boso nie biegał. Przypominała sobie z goryczą kaprysy dzieci, zuchwalstwo służby, na którą nie było się przed kim skarżyć. Pamiętała gości, przed którymi obdarty i zdziczały Jaś krył się po kątach, i do których ona sama nie zawsze mogła wychodzić, z powodu braku sukni.

To też napróżno pani Piotrowa błagała ją ze łzami; napróżno dzieci, przez kilka dni, były tak grzeczne, jak cherubiny; napróżno przytomny pan Piotr zbił dwie służące za hardość. Wdowa wstawiała się za sługami, pieściła grzeczne dzieci, a uprzejmym rodzicom wyświadczała tysiączne usługi. Lecz gdy przyszły konie od pana Anzelma, postanowiła jechać.

Widząc to, pan Piotr rzekł jej na odjezdne:

— Kiedy chcesz, jedź!... Ale odtąd — nie znamy się!

Spakowawszy trochę rupieci, siadła pani Wincentowa na bryczkę, zalewając się łzami. Furman podał jej zdziwionego Jasia. Ze dworu nikt nie wyszedł na pożegnanie, tylko w oknach kuchni widać było smutne lub uśmiechnięte twarze służby. Gdy ruszyła bryczka, kilka psów podwórzowych, wśród podskoków i głośnego szczekania, odprowadziło wdowę aż na pole. Nic dziwnego! ona te psy karmiła, a Jaś zawsze bawił się z niemi, nigdy ich nie bił, ani targał za uszy: Nowi gospodarze, choć obcy, a może właśnie dlatego, że obcy, okazali się nierównie lepszymi od krewnych. Pani Anzelmowa była sobie szczupłą, bladą i chorowitą szatynką. Lubiła czytywać romanse i grać na fortepianie; do gospodarstwa nie mieszała się tak dalece, że nawet służący jej nie umieliby powiedzieć, jak wygląda. Pan Anzelm znowu, niski, przysadzisty, ogorzały i rumiany blondyn, był człeczyna uczciwy z kośćciami. Czytywał mnóstwo gazet i pism rolniczych i prawie połykał artykuły, w których wyrzucano rolnikom ich niedbalstwo, brak nauki i niemyślenie o jutrze. Długie te kazania skruszyły już z natury miękkie serce pana Anzelma. Bijąc się w piersi, głośno wyznawał błędy, które mu wytykano, i odtąd począł się tak uczyć, tak dbać o gospodarstwo i myśleć o jutrze, że

nie miał czasu ani zajrzeć do stodoły, ani wyjechać na pole. Dawniej także nie zaglądał i nie wyjeżdżał, ale dlatego, że nie czytywał podobnych artykułów.

Zobaczywszy to, sąsiedzi poczęli go nazywać gospodarzem-filozofem. Istotnie, pan Anzelm był filozofem, ale nie z tej szkoły, do której należało Towarzystwo Kredytowe, bo pomiędzy nim a zarządem wymienionej instytucji trafiały się częste i ożywione sprzeczki.

Prócz tego pan Anzelm był jowjalnym. Lubił się śmiać i opowiadać dykteryjki; gdy zaś usłyszał lub wyczytał nową, powtarzał ją sąsiadom, żonie, guwernantce i ekonomowi, — wkońcu zaś pytał:

- A co, panie, dobry koncept?...
- Naturalnie!... — odpowiadał zapytany.
- To ja go wymyśliłem!

Młynkiewicz, ekonom Anzelma, który swego chlebodawcę uważał za szczyt ludzkiej doskonałości, dodzierał nie tylko „pańskie” suknie, ale i pańskie dykteryjki, w towarzystwie karbowego, gajowego i pisarza. Po każdej zaś powiastce dodawał:

- A co, panie, dobry koncept?... To myśmy go wymyślili z panem Anzelmem!...

W takim towarzystwie nie mogło być źle pani Wincentowej. Państwo byli dobrzy, dzieci grzeczne... To też między nimi odżyła biedna kobieta i jej synek.

Zaraz po przyjeździe, pan Anzelm dał nowej guwernantce kilkadziesiąt rubli zgóry. Za tę sumę oporzędzili się nieboracy i z najlepszą otuchą zajęli swój pokoiczek na piąterku.

Cacko też to było, nie pokoik! Miał czyściuchną podłogę, w kącie piec i białe jak mleko ściany, których jedyną wadą było to chyba, że trochę bielily suknie. Do jednego z okien wspinały się gałązki dzikiego wina, do drugiego przylatywały gołębie, wołając: „Grochu!... grochu!...”

Było tam jeszcze kilka krzesel wiśniowego koloru, komódka, szafa, szerokie łóżko dla matki, a dla syna rozsuwane łóżeczko — na wyrost. Były i dwa kotki bardzo

łaskawe, jeden myszaty a drugi biały, spuścizna... po ostatniej guwernantce, starej pannie.

— Zakociła nam panna Dylska całą okolicę! — mawiał nieraz pan Anzelm, patrząc pilnie, azali się słuchacz nie roześmieje, gdy zaś to nastąpiło, dodawał z triumfem:

— A co, panie, dobry koncept?... To ja go wymyśliłem!... Jeżeli guwernantka była zadowolona z państwa, to i oni musieli być z niej kontenci. Okazało się, że pani Wincentowa posiada dużo talentów.

W miesiąc po przybyciu, nauczyła klucznicę wypasać indyki, które dotychczas były chude jak szczypy. Umiała rurkować falbany u białych spódnic i zakładała firanki jak tapicer, aż ją rozrywali sąsiedzi! Grała przytem mnóstwo tańców na fortepianie, i dlatego nie obszedł się bez niej żaden wieczór. Zwykle zapraszano ją na bal, jako młodą wdówkę, która powinna zdobyć męża. Niebawem jednak, wśród próśb i całusów, zasadzano ją do fortepianu, od którego wstawała ledwie nad ranem.

W domu państwa Anzelmów przemieszkała wdowa trzy lata, a czas, tam spędzony, uważała za najszcześniejszy w życiu.

### III. JAŚ ZACZYNA DZIWIĆ MATKĘ

Synek wdowy, wydobywszy się z żelaznych uścisków pedagogiki pana Piotra i włożywszy nowe ubranie, szybko począł się rozwijać. Przy gościach wprawdzie, tudzież w stosunkach z dziećmi pana Anzelma, pozostał i nadal nieśmiałym, Zato jednak, znalazłszy się sam na sam z matką, ciężkiego nieraz nabawiał ją kłopotu.

Miał już skończonych lat siedem, rwał zęby przy pomocy nitki i klamki i dość wprawnie czytał, kiedy nagle — napadła go szczególna manja. Począł on po pokoiku matki chodzić wielkimi krokami, jak pan Anzelm, garbić się i zakładać ręce wtył — zupełnie jak pan Anzelm, a nadewszystko — głośno mówić do siebie, czego już pan Anzelm nie robił.

Najciekawsze było to, co mówił:

— Będę miał bas... będę miał bat... będę miał bąk... będę miał dom...

Usłyszawszy to, matka struchlała.

— Co ty wygadujesz, chłopcze?... — krzyknęła, załamując ręce.

— Albo mama nie wie? — odparł. — Przecież bat to się robi z kija i ze sznurka, a bąk to jest taki okrągły, z dziurką...

— No, dobrze, ja rozumiem... ale poco ty to mówisz? Na to już Jaś nie umiał odpowiedzieć. W gruncie rzeczy, gadanina jego była pierwszym brzaskiem budzącej się myśli i wyobraźni. Chłopiec czytał w elementarzu wyrazy dla wprawy, a tam, gdzie zwykle dzieci widzą tylko chaotyczną gromadę czarnych znaków i niezrozumiałych dźwięków, on widział przedmioty i obrazy. To ćwiczenie kiełkujących zdolności psychicznych robiło Inu wielką satysfakcją, i dlatego, nie zważając na przestroch matki, prawił dalej swoje:

— Będę miał bat...będę miał bąk... będę miał... Nagle urwał i zapytał:

— Proszę mamy, co znaczy: brzdęk?

Tym razem matka nie umiała mu odpowiedzieć.

— Czy to jest drewniane, czy jakie inne?

— Ale gdzież tam!... Ach, jakie ja mam zmartwienie z tobą, moje dziecko...

Czekały ją jednak większe zmartwienia, szczególnie z zakresu geografii i astronomji.

Pewnego razu, pani Wincentowa tłumaczyła dzieciom swoich chlebodawców kształt ziemi. Czworo tych głuptasków, z których jedno patrzyło w sufit, a drugie na podłogę, z najlepszą wiarą i bez żadnych zastrzeżeń, przyjęły do wiadomości zdania, że ziemia jest okrągła i że się obraca naokoło słońca. Jaś, czem innym zajęty, słyszał to z boku, a gdy wieczorem znalazł się z matką w pokoiku, rzekł:

— To wszystko musi być bajka!...

— Co takiego? — spytała matka.

— A to, żeby tam ziemia była okrągła — odparł Jaś. — Żeby była okrągła, toby z niej ludzie pospadali. Wiem przecież, bom nieraz łąził na stóg i zawsze z niego zlatywałem.

— A tyś tam poco łąził, niedobre dziecko? — zgromiła go matka, lecz opamiętawszy się, dodała: — Widzisz, ziemia jest większa... ho! ho!... ile razy większa od stogu...

— Gdyby była większa od stogu, toby ludzie jeszcze prędzej pospadali... eh!... nawet pozabijaliby się.

Na takie dictum umilkło biedne matczyisko, nie mogąc wybrnąć z dziecinnych zarzutów i nie podejrzewając nawet, że to niespokojne i zabawnie rozumujące powątpiewanie zdradza zawiązek niepospolitego umysłu.

Jaś miał nadzwyczaj silną wyobraźnię. Pewnego razu usłyszał od parobków, że na księżycu, w czasie pełni, widać

chłopa, który gnój nakłada. Odtąd, ile razy zdarzyła się sposobność, leżał po całych wieczorach na ziemi, z twarzą zwróconą do księżyca. Widywał wówczas



mnóstwo rzeczy: raz, że księżyc toczy się jak koło po obłokach, to znowu, że pod powierzchnią jeziora jest drugi księżyc i drugie niebo, to znowu, że z ponad wód i wilgotnych łąk unoszą się jakieś olbrzymie widziadła, w długich powiewnych szatach... Chłopa jednak na księżycu zobaczył dopiero przy końcu lata.

Jednego wieczora, spacerujący po ogrodzie państwo Anzelmowie usłyszeli krzyk dziecięcy:

— Fornalu! fornalu!... Gospodarzu!...

Zaciekawieni, podeszli w tamtą stronę i zobaczyli Jasia, który zadartł głowę, twarz zwrócił ku księżycowi i wrzeszczał jak opętany:

— Fornalu! fornalu!...

Napróżno jednak zapytywali go: co to znaczy? Zawstydzony chłopak uciekł i dopiero w parę godzin powiedział matce:

— Bo to widzi mama, ja chciałem się tego chłopca zapytać, jak tam jest na księżycu?

Matka westchnęła.

innym razem rzucił pytanie:

— Moja mammo, dlaczego ja chodzę, a lalka nie chodzi, chociaż ma nogi i jest do mnie podobna?

— A bo widzisz, moje dziecko, ty masz duszę, a lalka jej nie ma.

— A co to jest dusza?...

Matka zamyśliła się, i przywoławszy na pomoc katechizm księdza Putiatyckiego, odparła:

— Dusza... dusza jest to, co w twojem ciele myśli i niem rządzi...

— Przecie ja sam myślę, nie żadna dusza! Pytanie to trapiło go i chciał się koniecznie dowiedzieć: jak wygląda dusza? Szczęściem, nadeszło wkrótce Boże Narodzenie, a gdy Jaś zajrzał do kuchni, gdzie oprawiano ryby, klucznica, podając mu jakiś podwójny pęcherzyk, rzekła:

— Naści, Jasiu, rybią duszę... Strzel sobie z niej!

Jaś miał wielką ochotę włożyć duszę w lalkę; zmiarkowawszy jednak, że ryba co innego, a lalka co innego, nacisnął pęcherzyk nogą i strzelił.

Na drugi dzień świąt, przyjechał do państwa Anzelmów miejscowy proboszcz. Siwy jak gołąb starowina, wzięwszy w lewą rękę tabakierkę, w prawą ogromny fular, zebrał około siebie dzieci i egzaminował je z religii. Pytał ich: kto stworzył świat?... jak się nazywali pierwsi rodzice?... naco Pan Bóg ludzi stworzył?... Jaś na wszystko odpowiadał najgorzej i najbojaźliwiej; dopiero usłyszawszy frazes: co to jest dusza? — krzyknął:

— Ja wiem!

— Bardzo dobrze!... bardzo ładnie! — chwalił go proboszcz. — No, powiedz już, powiedz... bo ci języczek widzę ucieknie.

Jasiowi oczy świeciły jak węgle.

— Dusza — rzekł z wielką pewnością siebie — to takie, co strzela!

Starowina, usłyszawszy to, podniósł dogóry obie ręce z chustką i tabakierką i zdziwiony zawołał:

— Jezus! Marja! A od kogożeś ty się o tem dowiedział?...

— A od klucznicy, proszę księdza proboszcza, jak oprawiała ryby.

— Moje dziecko!... moje dziecko!... — mruzczał pocziwiec, kręcąc głową.

Potem zażył tabaki, raz, drugi raz, utarł nos powoli i systematycznie, i — dał spokój egzaminowi, ku wielkiej uciesze dzieci.

Pani Wincentowa załamała ręce, ale zato pan Anzelm śmiał się tak, że aż mu oczy nawierzch wychodziły.

— Jaki to będzie facecjonista z tego chłopca! — mówił, całując Jasia w jasne kędziory.

Wszystkiego tego nie słyszała jedna tylko pani Anzelmowa. Myślała ona o swoich nerwach i o tem: czy eteryczny Wiesław Różyc ożeni się z Cecylją?

Mimo egzaminowe niepowodzenie, Jaś był ogromnie zdolnym chłopcem. Mając dopiero lat dziewięć, strugał drewniane pałasze i łuki dla synka państwa Anzelmów, tudzież czótenka z kory sosnowej — dla ich córek. Rozumiał budowę młyna, tartaka, i małego, ściennego zegara; tego tylko nie mógł pojąć, z jakiej racji jedna skazówka posuwa się prędzej niż druga?

W arytmetyce robił zadziwiające postępy: wymyślił bowiem sposób wykonywania trzech pierwszych działań na ziarnkach fasoli, przy pomocy której nauczył nawet starszego od siebie Józia niesłychanie trudnej rzeczy: tabliczki mnożenia. Odtąd ile razy dzieci nie mogły czego pojąć, pani Wincentowa tłumaczyła najprzód Jasiowi, a on im, zapomocą własnych przykładów, odznaczających się prostotą i jasnością.

To też pan Anzelm nieraz mówił do Jasia:

— Chłopcze! ty będziesz wielkim człowiekiem.

Z pośród małych swoich towarzyszy, Jaś najbardziej lubił Antosię. Bo też w republice dziecięcej oni oboje najskromniejsze zajmowali stanowiska: Jaś jako syn guwernantki, Antosia — jako najmniej pieszczona przez swoich rodziców.

Pewnego razu, dzieci te prowadziły między sobą nader charakterystyczną rozmowę:

— Czemuś chciała być? — spytał Jaś.

— Chciałabym być Manią! — odparła Antosia. — A ty czem?

— A ja... furmanem!

Mania była siostrą Antosi, najbardziej kochaną przez matkę; Jaś znowu, bawiąc się z Józiem, zawsze pełnił obowiązki konia. Okoliczności te tłumaczą życzenie obojga.

Jaś dostarczał najwięcej zabawek Antosi. Raz nawet zrobił jej kołyskę dla lalki; na nieszczęście, lalka miała pół łokcia długości, a kołyska ledwie kilka cali.

— Trzeba ją zepsuć! — rzekł zmartwiony Jaś, biorąc kołyskę.

— Dajże pokój! — zawołała Antosia. — Przecież lalka może mieć dziecko.

— A prawda!...

Istotnie na drugi dzień, przy pomocy służącej, urodziło się dziecko, złożone z mnóstwa gałganków i waty. Jaś pilnie mu się przypatrywał.

— Co to jest? — spytał, pokazując na jedną połowę ciała nowonarodzonego.

— To przecież głowa!...

— A gdzie ręce?

— Ona nie ma rąk, tylko koszulę.

Sprowadzono kołyskę, lecz okazało się, że głowa lalki jest za szeroka. Ponieważ Jaś znowu się zmartwił, Antosia więc zaproponowała mu, aby wyrysował lalce nos i oczy, co też wykonał, mocno przy tej okazji obracając językiem.

Przyjaźń dzieci była tak wielka, że Jaś postanowił nawet podzielić się z Antosia niesłychanie ważną tajemnicą.

— Chodź — rzekł do niej — pokażę ci gniazdo.

— Gniazdo?... — zawołała, klasnąwszy w rękę.

— Ale nie powiesz nikomu?... — spytał uroczyście.

— Nie!... jak mamę kocham...

Poszli do ogrodu, gdzie kroplista rosa siedziała na liściach, tworząc mnóstwo tęczowych kręgów. W powietrzu czuć było upajającą woń, rozlegał się pomieszany świergot ptaków, a tu i owdzie brzęk pszczół i cirkanie polnych koników.

— Czy to prawdziwe gniazdo? — pytała zaciekawiona dziewczynka.

— Rozumie się.

— A małe ptaszki są tam?

— Jakżeś chciała?... Muszą być.

W jednym z krzaków zaszeleściło coś.

— Może to tu?... — dowiadywała się Antosia. — Możeś ty zapomniał?

Jaś, zamiast odpowiedzi, poważnie wstrząsnął głową. Doszli do klombu, rosnącego w końcu ogrodu. Jaś zatrzymał się, przykląkł i, ostrożnie odchylając gałązki, szepnął:

— Cicho!...

Antosia schyliła główkę i położyła palec na ustach.

— Widzisz? — spytał Jaś.

— Widzę — odparła — ale nie wiem gdzie...

Jaś wskazał palcem.

— Ach!... — krzyknęła zachwycona.

O łokieć od niej, na ziemi, leżało szare gniazdeczko, okrągłe i gładkie jak ulane. W środku był wklęsły materacyk z końskiego włosia i z puchu, a na nim maleńki ptaszek. Był on czerwony i bez pierza, miał zarośnięte, lecz wypukłe i duże oczy, a jeszcze większy brzusek. Usłyszawszy szmer koło siebie, podniósł główkę, a żółty dzióbek otworzył tak szeroko, jakby chciał połknąć Antosię.

— Jeść chce! — zauważył Jaś.

W tej chwili, nad głowami dzieci usiadł ptaszek już dorosły. Poruszył parę razy ogonkiem, popatrzył na ciekawskich najprzód prawem okiem, później lewem, a wkońcu zaczął piszczeć żałośnie.

— Odejdźmy — rzekł Jaś. — Matka przyszła go karmić. Antosia wracała do domu bardzo zamyślona, a w kilka

godzin potem spytała:

— Jasiu! nie możnaby Mani pokazać gniazda? — A nie!

— A Józiowi także nie?

— Rozumie się! Józioby zaraz zepsuł gniazdo. Antosia rzeczywiście dochowała tajemnicy, lecz na nieszczęście postanowiła zaopiekować się ptaszkiem. Nic nie mówiąc, wzięła nad wieczorem garść okruchów chleba i hojnie nakarmiła niemi

gołego malca. Skutkiem tego, gdy dzieci na drugi dzień przyszły odwiedzić go, przekonali się, że biedny ptaszek już nie żyje.

— Ach, Antosiu! — zawołał Jaś — toś pewnie ty temu winna?

Dziewczynka zalała się łzami.

Jaś wziął do ręki martwe pisklę, które było jakieś pomarszczone i zimne, i szepnął:

— Cóżżeś ty był nam winien, biedaku!... W oczach łzy mu się zakręciły.

— Nie mów tak, Jasiu! — prosiła go zmartwiona dziewczynka, a potem dodała prędko: — Możemy mu zato pogrzeb wyprawić...

— Co jemu z tego przyjdzie?

— Ja włożę go w kołyskę, tę, coś mi darował dla lalki... ty zrobisz mu krzyżyk...

— Daj spokój! — przerwał Jaś. — Myśl lepiej o tem, że będziemy mieli zmartwienie.

— Przecież nikt nie wie...

— Nie bój się! Pan Bóg wie dobrze i jeszcze mnie skarze za to, żem ci pokazał gniazdo...

Oboje wrócili do domu w nastroju bardzo poważnym. Jasiowi zdawało się, że ktoś za nim chodzi, Antosi znowu, że wszyscy mają twarze zachmurzone i gniewne. Nie mogła biedaczka wytrzymać, powierzyła więc Mani swoje strapienie. Mani również zaciężyła tajemnica, więc szepnęła o niej Józiowi, który z wielkim śmiechem ogłosił to publicznie. Sprawdziła się wówczas przepowiednia Jasiowa o zmartwieniu. Pan Anzelm bowiem, usłyszawszy, o co idzie, zrobił ogromny hałas, począł tupać nogami, kazał przynieść siekierę w celu ucięcia głowy Jasiowi i Antosi, a wreszcie — postawił ich w kące.

#### IV. JAŚ Z MATKĄ JADĄ NA WŁASNY CHLEB

Po deszczu nastąpi pogoda, po nocy dzień, po zmartwieniu radość, po pracy odpoczynek, po dostatku ubóstwo. Wszystko to zależy widać od obrotu ziemi naokoło osi, jak mówił mój wuj, człowiek wielkiego serca i filozoficznego umysłu.

To też, mój przyjacielu, gdy masz zmartwienie, ciesz się: znak to bowiem nieomylny, że wkrótce będzie dobrze. Smuć się raczej wówczas, gdy jesteś zupełnie szczęśliwy, bo na świecie niema nic trwałego! Jest to znowu pogląd mojej babki, świątobliwej kobiety, która wiele w życiu zaznała, ba! widziała Napoleona...

Nie myślę ja wam zakłócać spokoju, o wy, którzy spoczywacie w odległych grobach! Chcę tylko, aby wiadano, żem nie zakopał w ziemi, jak bojaźliwy sługa, wdowich groszów, któreście zostawili ku pożytkowi.

Pani Wincentowa za długo była szczęśliwa, bo prawie trzy lata. Rychło też los się odwrócił.

System gospodarski pana Anzelma, oparty na czytaniu artykułów wstępnych, opłakane wydał owoce. Długi rosły, dochody zmniejszały się, aż wkońcu zacny facecjonista, dla zaspokojenia wierzycieli i pozostawienia dzieciom uczciwego nazwiska, sprzedał swój duży majątek, a wziął się do kilkowłótkowej dzierżawy.

Smutne były dni, kiedy ze starego dworu, który jeszcze wybudował dziad, poczęto wynosić i wyprowadzać sprzęty do nowej siedziby. Nie było godziny, żeby coś nie zaszło. To opustoszał salon — to pan Anzelm swojej guwernantce zapłacił resztę pieniędzy, — to znowu uprosił ją, aby sobie wzięła garnczek masła, trochę mąki i krupek.

O gdybyście wiedzieli, jak się też biedaczce ścisnęło serce przy odbieraniu tych żałobnych podarków!...

Nareszcie wyjechała ostatnia fura. Za nią poszły dwa woły, poruszające nieustannie gębami, i psy podwórzowe, z których jednego trzeba było aż w worek włożyć, tak nie chciał jechać. Na folwarku pojawili się ludzie obcy, a przed ganek zajechała wielka landara i bryczka. Pożegnawszy się kilkakrotnie, wygnańcy poczęli wsiadać. Józio skoczył na kozioł, trzy dziewczynki umieściły się na przodzie landary, a naprzeciw nich pan Anzelm i jego małżonka z drugim tomem najświeższej powieści, której w domu nie mogła dokończyć.

Do bryczki siadła pani Wincentowa z Jasiem.

Gdy furman strzelił z bata i konie ruszyły, pan Anzelm nagle zawołał:

— Zaczekaj-no!...

Wyskoczył z landary i wbiegł znowu do pustego dworu. Po chwili zobaczono go w kancelarji, w pokoju dzieciennym, w salonie... Zdawało się, jakby czegoś szukał; może szczęścia, które go opuściło?... Ktoś bliżej stojący słyszał, że pan Anzelm coś mówił; może być, że zapraszał cienie przodków, aby opuściły stary dwór dziedziców i przeniosły się wraz z nim pod słomianą strzechę dzierżawcy?

Panu Anzelmowi tymczasem zdawało się, że z gładkich, obnażonych ścian wyrastają niewidzialne ramiona, aby go pobłogosławić i uścisnąć na drogę. Wówczas ucuł, że się stąd nie wyrwie, chciał bodaj umrzeć w tych uściskach!... Ale przyszły mu na myśl dzieci, więc — wrócił do landary i kazał jechać.

Przez małą milę biegła bryczka za powozem, i tak dojechali aż do murowanej, walącej się kapliczki. Tu droga rozwidliła się we dwie odnogi, z których jedna szła ku szosie, wiodącej do Warszawy.

Powóz stanął, i w jednym z jego okien ukazała się okrągła twarz pana Anzelma.

— Hop! hop!... — krzyknął. — Bywajcie tam zdrowi!...

— Niech was Bóg prowadzi! — odpowiedziała wdowa.

W landarze zrobił się ruch. Niebawem wygramolił się z niej szlachcic i przybiegł do bryczki.



— Moja pani — mówił, ściskając wdowę w objęciach — niech cię Bóg błogosławi! A jeżeli ci tam będzie bardzo źle, to wróć do nas. Znajdzie się jeszcze choć suchy kawałek chleba dla wszystkich.

Następnie zwrócił się do Jasia:

— A ty, chłopak, ucz się i słuchaj matki... Jeżeli zostaniesz kiedy wielkim człowiekiem, zrób mię choć stróżem. Będziesz wtedy stawiał mnie w kącie, tak, jak ja ci to nieraz robiłem... A co, panie, prawda, że dobry koncept?...

Mówiąc to, śmiał się grubym głosem, a jednocześnie po ogorzałej i zakurzonej twarzy płynęły mu łzy. Tymczasem w landarze Mania narzekała, że jej źle siedzieć — Józio prosił furmana, ażeby mu dał lejce — Antosia, szlochając, patrzyła na bryczkę — a pani Anzelmowa, trzymając na kolanach drugi tom zaczętej powieści, przymknęła zapadłe oczy i z błogim uśmiechem rozmyślała: co też zrobi Ernest, zdradziecko opuszczony przez Łucją?...

Nareszcie ruszył powóz w prawo, a bryczka w lewo. Wdowa i Jaś spoglądali za odjeżdżającymi, których stopniowo zasłaniał długi, wijący się jak wąż, tuman płowego kurzu. Wkońcu tuman znikł i zostali sami, mając dokoła pola, okryte wędniejącym ścierniem i zasnute pajęczyną, a nad sobą — miłosiernego Boga, bez którego woli nie zerwie się ani wąż sieć pajęcza, ani wężlejsze od niej nici ludzkiego szczęścia.

## V. CO SIĘ STAŁO W WARSZAWIE

Pani Wincentowa jechała do Warszawy z najlepszymi nadziejami. W ciągu siedmioletniego pobytu na prowincji zapomniała o doznanych kłopotach i nauczyła się patrzeć na miasteczko nasze przez różowe okulary.

Warszawę, w opinii całego kraju, otacza jakaś aureola pomyślności, oświaty i miłosierdzia. Wiejskie dziady po odpustach z uszanowaniem odzywają się o dziadach warszawskich, którzy według nich, zarabiają tysiące, a niekiedy są właścicielami kamienic. Majętniejszy obywatel ziemski we śnie i na jawie marzy o tem, aby mógł zimę przepędzić w Warszawie, a przynajmniej kształcić dzieci w tamtejszych pensjonatach. Uboższy szlachcic, który usiłuje przytłumić w sobie wstręt do hebla i kowadła, tylko warszawskiemu rzemieślnikowi z ufnością powierza syna.

A cóż dopiero mówić o wszelkiego rodzaju biedakach, poszukujących pracy lub pomocy? Niejeden i niejedna z tych, którzy na prowincji łatwo utrzymałby się mogli, rzuca rodzinny kąt i śmiało jedzie do Warszawy. Nie ma znajomych, ani pieniędzy, wierzy jednak w to, że byle przejechał roгатkę, a bardziej jeszcze — żelazny most, wówczas mnóstwo instytucyj i tysiące dobroczynnych osób pospieszą na wyścigi z protekcją, pieniędzmi i radą.

Człowiek, który w powiatowym miasteczku, pobierając kilkaset złotych pensji, mieszkał obok budowniczego, pewnym jest, że w Warszawie nazwą go technikiem i ofiarują tysiące rubli. Inny, który przez ciąg kilkudziesięcioletniego życia nie mógł zrobić ani grosza oszczędności i na starość dotknięty został paraliżem, błaga znajomych, aby go wysłali do świętego miasta, gdzie z paraliżu zostanie wyleczony i na resztkę dni znajdzie spokojny i wygodny przytułek.

Podobne projekty snuła sobie i pani Wincentowa. Była pewną, że dobrzy ludzie pomogą jej, gdy im opíše swoje położenie i rzeczywiście niepospolite zdolności Jasia. Przy pomocy nieznaných protektorów i odrobinie własnych pieniędzy, miała zamiar

otworzyć magazyn. Ponieważ handel z konieczności (niewiadomo jakiej?) musiałby jej iść dobrze, wzięłaby więc najlepszych nauczycieli do Jasia, który z kolei rzeczy zostałby znakomitym inżynierem, zrobiłby olbrzymi majątek i tak dalej!...

Tak marząc i z miłością wpatrując się w różową twarz i półotwarte usta zadumanego chłopczyny, uśmiechała się biedna matka. Szczęśliwa! że zakryte przed nią były bolesne dzieje, z których ręka przeznaczenia z biegiem czasu odsłaniać miała po jednej głosce...

Zaledwie wdowa stanęła na warszawskim bruku, wnet spotkały ją rozczarowania. Dawni znajomi, z których wielu dorobiło się majątku, z trudnością przypominali sobie jej nazwisko, z lodowatym, choć grzecznym uśmiechem przysłuchiwali się jej projektom, a natomiast wiele mówili o swoich kłopotach i o osobach, które imi muszą się opiekować. Głośni na cały kraj filantropowie byli wiecznie chorzy i zajęci, ci zaś, którzy nie mogli się wykręcić od obietnicy protegowania wdowy, na widok jej kurczyli się, jak ślimak kłuty szpilką.

Wkońcu, po długiej dreptaninie i wielu upokorzeniach, po zjedzeniu zapasów i wydaniu pieniędzy, zaoszczędzonych na wsi, udało się niebodze wynaleźć kilka rodzin, które powierzały jej robotę do szycia. Praca była ciężka, a zapłata licha. Ażeby zarobić rubla dziennie, należało przez kilkanaście godzin nie wstawać od maszyny lub stolika. Najczęściej też zdarzało się, że damy, mieszkające w wykwintnych salonach, po całych tygodniach i miesiącach nie zwracały jej z takim wysiłkiem zapracowanych kilku rubli. Inne wypłacały ratami, tygodniowo po parę złotych, na które przez długie godziny trzeba było wystawać w przedpokoju. Jeszcze inne zupełnie nie płaciły, a nawet wymyślały i zakazywały służbie puszczać do domu natrętną!...

Mimo to, wdowa nie traciła nadziei, lecz pracowała, pocieszając się myślą, że wkrótce pocnie robić oszczędności na najlepszych nauczycieli dla Jasia. On tymczasem od rana do wieczora pisał, uczył się i czytał przy klekocie maszyny, a najsmaczniej spał pod wpływem światła lampy i monotonnego łoskotu. Niekiedy

łoskot ten słabnął, ustawał, znowu się potęgował, znowu słabnął, i wreszcie milknął zupełnie. Wówczas zdziwiony Jaś budził się i przy pomieszanem świetle dogorywającej lampy i wschodzącego słońca, spostrzegął matkę. Siedziała ubrana, z głową zwieszoną i przymkniętymi oczyma. Ręce jej opadły bezwładnie, oddychała szybko, a na twarzy paliły się gorączkowe rumieńce.

— Mamo! — wołał Jaś — dlaczego mama nie śpi?... Budziła się i odpowiadała z uśmiechem:

— Bo mi się jakoś nie chce...

Omdlałe ręce jej biegły znowu do przerwanej roboty, sztywne nogi poruszyły się. Lecz w kilka chwil znowu opanowywało ją znużenie, mocniejsze od widma nędzy i głosu dziecka.

Im gorliwiej pracowała, im dłużej siadywała po nocach, tem bardziej zmniejszały się zarobki. Niekiedy na opędzenie całotygodniowych potrzeb miewała jednego rubla. Wówczas, prócz mleka, które razem z Jasiem piła na śniadanie, i talerza zupy na obiad, nie jadła nic więcej. Czasami, przy tych obiadach, napadała ją wielka ochota na mięso. Zdawało się, że sam widelec pociąga jej rękę do małego kęska pieczeni. Lecz umiała się pohamować.

— Dlaczego mama nie je, mięsa? — pytał Jaś.

— Nie mam ochoty! — odpowiadała. — Pewnie musi być twarde i niesmaczne.

— Gdzież tam! jest mięciutkie i doskonałe. Słyszysz mama, jak pięknie pachnie?...

Czuła ona dobrze zapach mięsa, lecz mimo to nie jadła. Na drugi dzień też samą porcyjkę odegrzaną, bez żadnej zupy i jarzyny, dostawał Jaś na obiad, który matka zastępowała sobie kawałkiem chleba.

Jaś, widząc to, odkładał widelec i pytał ze smutkiem:

— Dlaczego dziś mama nie je obiadu?... — Suszę, moje dziecko!

A potem dodawała z uśmiechem:

— Nie nato człowiek żyje, aby jadł, ale nato je, aby żył.

Odtąd Jaś coraz częściej słyszał to przysłowie, a wdowa coraz widoczniej nędzniała i traciła siły. Nareszcie, pewnego wieczora, uczuła mocny ból i zawrót głowy, dostała gorączki i położyła się.

Na drugi dzień symptomy chorobliwe wzrosły, i wdowa nie mogła wstać z łóżka. Szczęściem, tego dnia odesłano jej kilka rubli za robotę, za które to pieniądze karmiła blisko przez dwa tygodnie Jasia i swoją najemnicę, starą Maciejową. Sama żyła herbatą i wodą.

Choroba ta mniej ją niepokoiła, niżby się mogło zdawać. Dzięki silnej gorączce, wdowa codzień czuła się pozornie zdrowszą i twierdziła, że „jutro” wstanie.

— Tyle mam roboty!... — mawiała nieraz — kiedy ja to pokonczę?...

W rzeczywistości jednak roboty nie było żadnej.

Pewnego dnia, Maciejowa, jak zwykle, przyszła po pieniądze do miasta. Chora wydobyła woreczek z pod poduszki, otworzyła go i poczęła w nim pilnie szukać. Zbliżyła go do oczu, zdziwiona, wytrząsała nad kołdrą, lecz stamtąd nie wypadło nic, bo już nie było nic.

Nagle uderzyła się w czoło i zawołała ze śmiechem:

— Ach! jakaż ze mnie gapa... Zapomniałam, że te dziesięć rubli wziął do zmienienia pan Anzelm.

— Pana Anzelma nie było tu... — rzekł przerażony Jaś. Wdowa uśmiechnęła się i kiwnęła ręką.

— Maciejowo! co mamie jest?... — szepnął bardziej jeszcze strwożony Jaś do wychodzącej najemnicy.

— Majaczy z choroby. To takie planety przychodzą...— odparła staruszka i wyszła.

Chłopiec rzucił się z płaczem do matki.

— Moja mammo!... moja mammo!... — wołał, całując po rękach. — Mama taka chora!

Matka, ciągle uśmiechając się, wzruszyła ramionami.

— Zdaje ci się tylko!... Byłam trochę osłabiona, ale wzmocnił mnie ten buljon...

Daj mi pić!

Jaś podał szklankę wody.

— Z jakim to sokiem?... pewnie z porzeczkowym... Dyż! dyż!... gołąbki...

Szklanka z resztą wody upadła na ziemię.

Tymczasem Maciejowa, w pogadance ze stróżem, powiedziała, że pani jej wpadła w tyfus z głodu, i że w domu niema kawałka chleba. Stróż powtórzył to jednemu z lokajów, a lokaj służącej państwa Karolów, ludzi majątnych i miłosiernych. Państwo Karolowie nie mogli tego przenieść, ażeby ktoś mieszkający z nimi pod jednym dachem, umierał z głodu; złożyli więc naprędce małą radę familijną i postanowili ratować biedaków.

Jakoż w parę godzin po odejściu najemnicy, kiedy zrozpaczony Jaś, klęcząc przy łóżku nieprzytomnej matki, z wielkim płaczem błagał Boga o ratunek, otworzyły się drzwi i do izdebki ich wszedł jakiś poważny jegomość ze służącą. Przybysz uspokoił zdziwionego Jasia, obejrzał i opukał chorą i zapisawszy receptę, oddał ją służącej. Niedługo przyniesiono obiad dla Jasia i lekarstwa dla chorej. Na drugi dzień, nieznanego dobroczyńca polecił Maciejowej nie odstępować od chorej, zjawił się znowu poważny jegomość, a potem znowu lekarstwa i jedzenie.

Jaś nie pytał o sprawcę tego wszystkiego, wiedząc, że był nim Bóg, który wysłuchał sierocą modlitwę. Choć zatem matka była coraz bardziej nieprzytomną, chłopczyk już się nie martwił.

Jednego dnia obudził się bardzo wcześnie, zaraz po wschodzie słońca. Stara Maciejowa, zmęczona, spała na kuferku, zwinięta w kłębek. Jaś na palcach zbliżył się do chorej, i oto co ujrzał: Matka jego leżała wpół odkryta. Czarne jak węgiel usta jej były otwarte, ręce gwałtownie wyciągnięte nad głowę i zaciśnięte pięści...

Na ten straszny widok Jaś uczuł dziwne ciepło, szum w uszach i, nie wydawszy jęku, zemdlny upadł na ziemię.

## VI. PEWIEN TYP LUDZI UCZCIWYCH

Pan Karol, wysoki, przystojny brunet, średniego wieku, był o tyle majątnym, że z procentu od kapitałów, pomieszczonych w papierach publicznych, mógł utrzymać przyzwoicie swoją rodzinę, używać drobnych przyjemności, pomagać ludziom i jeszcze coś odkładać.

Życie pana Karola, obok żony — ładnej i wesołej blondynki, tudzież dwu synów: Edzia i Tadzia, którzy już byli w drugiej klasie, — płynęło bardzo spokojnie. Namiętności nie miał żadnych, jego potrzeby zaś (naturalnie w granicach wygod i dobrego smaku) były nader skromne.

Jako jednostka moralna, pan Karol był uosobioną miłością. Kochał on rodzinę, społeczeństwo, naturę i sztukę, a oprócz tego, na szerokim tle tej ogólnej miłości, umiał się entuzjasmować do pojedynczych przedmiotów. W ciągu jednego tygodnia pragnął założyć wzorowe pismo, następnie gotów był pomóc jakiejś ubogiej rodzinie, a później — częścią swego majątku przyczynić się do zaprowadzenia kanalizacji w mieście. Za każdym razem entuzjazm jego szybko wznosił się do wyżyn, a następnie z wolna opadał. Pan Karol był idealistą, w duszy więc jego toczyła się nieustanna walka między doskonałymi ideałami a niedoskonałą rzeczywistością.

Dowiedziawszy się o smutnym stanie wdowy, pan Karol pomógł jej natychmiast, projektując sobie, że musi stanowczo zabezpieczyć jej byt. Lecz że wdowa umarła, szlachetny dobroczyńca uważał za obowiązek wziąć do swego domu Jasia.

W tej chwili wolałby stracić połowę majątku, aniżeli pozwolić na to, ażeby miły i nieszczęśliwy chłopczyk znalazł się bez chleba i dachu.

Jakoż w dzień śmierci matki, Jaś znalazł się w mieszkaniu nowego opiekuna. I podczas gdy pan Karol biegał po mieście w sprawie pogrzebu nieboszczki, pani



Karolowa własnoręcznie obszywała surducik Jasia białą taśmą, a synowie jej w swoim pokoiku układali jego książki, ustawiali kuferek i łóżko.

Gdy Jaś, wraz z całą rodziną dobroczyńcy, powrócił z pogrzebu, pan Karol rzekł:

— Moje dziecko! wprowadzie Bóg ciężko cię doświadczył, ale nie opuścił. Straciłeś kochaną matkę, lecz w nas, tu obecnych, zyskałeś nową rodzinę.

Słyszając to, sierota zasłonił twarz rękami i głośno zaszlochał. Wtedy pan Karol powstał z fotelu i całując go w głowę, uroczystym głosem przemówił te słowa:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

Zkolei zbliżyła się pani Karolowa, znowu pocałowała sierotę i powtórzyła za mężem:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

Obecni przy tem chłopcy, znowu pokolei przystępowali do Jasia i, całując go w oba policzki, mówili jeden po drugim:

— Jasiu! przyjmuję cię za brata.

Poruszająca ta scena dziwnie oddziaływała na Jasia. Przy pierwszym pocałunku chciał upaść do nóg panu Karolowi, przy drugim — doświadczył zdziwienia, a przy ostatnim — nagle przestał płakać. Serce i płuca skurczyły mu się tak boleśnie, że nie mógł pochwycić tchu. Każdy następny pocałunek był dla niego szczęściem, które na istotę ludzką spada z tak wysoka, że może ją rozmiażdżyć.

Dokonawszy ceremonji adoptowania nowego członka rodziny, państwo Karolowie spojrzeli na siebie z zachwytem, a ich chłopcy ze zdumieniem. Ponieważ jednak obaj byli dobrze wychowani, milczeli więc, wierząc, że w ich oczach trafił się fakt dobry i uroczysty.

Edzio i Tadzio, jak rodzeni bracia, kłócili się ze sobą, a nawet niekiedy czubili. Czuli jednak instynktownie, że między nimi a nowo kreowanym braciszkiem istnieje wielka różnica. Choć więc żaden z nich nie okazywał drugiemu zbyt wyrafinowanej

uprzejmości, Jasia odrazu traktowali dziwnie uprzejmie. Przy herbacie, ku wielkiemu zadowoleniu rodziców, usługiwali mu na wyścigi — a gdy się kładł spać, chcieli go rozebrać i ułożyli mu rzeczy na stołku, co każdy z nich nawet samemu sobie robił niechętnie.

Około północy, gdy już państwo Karolowie zamyślali o spaniu, w pokoju chłopców rozległ się stłumiony krzyk dziecięcy:

— O mamó! mamó!...

Usłyszawszy to, pani Karolowa wybiegła z sypialni, a pan Karol ze swego gabinetu. Zetknęli się oboje.

— Kto to wołał?... czy które z naszych dzieci? — spytała niespokojnie pani.

— Nie... To ten... Jaś — odparł mąż.

— Ach! on...

— On także nasz!... — zauważył z dobrotliwym uśmiechem pan Karol.

Pani Karolowa z rozczuleniem spojrzała mężowi w oczy, i objąwszy go rękoma za szyję, oparła mu na ramieniu piękną główkę i szepnęła:

— Jakiś ty dobry, mój Karolu!... Jakiś ty szlachetny! Dziwna rzecz jednak! Ten pełen uwielbienia wykrzyknik obudził w sercu pana Karola uczucie lekkiego kłopotu. Szczerze byłby rad, gdyby mu żona nie wypominała szlachetności. Niesmaczne to uczucie Karol przypisał zmęczeniu i senności. Kłopot jednak pana Karola zwiększył się w ciągu dni następnych. Dom jego ciągle był pełen gości, którzy ciekawie przypatrywali się Jasiowi i pytali o jego historję. Dowiedziawszy się zaś o przyjęciu sieroty za syna, pod niebiosa wynosili zacność pana Karola i jego małżonki.

— Naturalnie, że odda go pan do szkół? — zapytała jedna z dam.

— No, ale chyba do udziału w majątku nie przypuścisz go; skrzywdziłbyś własne dzieci! — ostrzegała jakaś krewna.

Pan Karol słuchał, milczał, lecz potniał, szczególnie gdy żona, przed bardziej zaufanemi osobami, opisywała wzruszającą ceremonję adoptacji.

Po upływie paru tygodni odwiedził ich domowy lekarz, który zauważył, że w pokoju dziecięcym jest za ciasno, i że należy usunąć jednego z chłopców. W pierwszej chwili pan Karol chciał Edzia przenieść do garderóbki. Ponieważ jednak była to epoka egzaminów, a Edzio i Tadzio musieli się razem uczyć, przeniesiono zatem Jasia.

Dla Jasia zmiana lokalu była prawdziwym szczęściem. Odtąd mógł on większą część dnia przepędzać w garderóbce i nie kręcić się między osobami, dla których czuł wiele szacunku i wdzięczności, lecz których wstydził się i obawiał. Nie umiał siadać na eleganckich krzesłach, nie umiał chodzić po woskowanej posadzce, często nogi zaplątywały mu się między, dywanami, niekiedy coś tłukł, a przynajmniej wywracał. Służba nie wiedziała, jak przemawiać do niego, a on — jak mówić do państwa Karolów. Wizyty przstraszały go, przy jedzeniu tracił apetyt. Słowem, biedny sierota, wśród wszelkich oznak życzliwości, czuł się zgnębionym, nie umiał myśleć, onieśmiał się coraz bardziej i dziczał. Państwo Karolowie dziwili się niejednokrotnie, że chłopiec w jego wieku może być tak roztargnionym i ponurym i że w najdrobniejszej rzeczy postużyć się nim niepodobna.

Pewnego dnia przyszedł do pana Karola jego znajomy, człowiek, odznaczający się ironją i czarnymi poglądami na świat.

— Cóż to! — zawołał gość — niebo, jak słyszę, obdarzyło cię trzecim synem?

— A tak! — odparł ze słabym uśmiechem pan Karol.

— W mieście mówią, że chłopak ładny i bardzo do ciebie podobny...

Pan Karol zarumienił się z oburzenia.

— Mógłbyś nie powtarzać podobnych bredni! — odezwał się do pesymisty.

Nastąpiła chwila milczenia; gość zapalił cygaro i mówił dalej:

— Dobrze jest miłosierdzie, mój Karolu, byle nie przesadzone. Żeś wziął chłopca, nic w tym złego, ale w rozpieszczaniu go niema sensu. Gotów wkońcu zapomnieć, że jest sierotą i że potrzebuje sam dbać o siebie.

— Cóż mam robić? — przerwał pan Karol.

— Oddać do rzemiosła! — odparł gość. — Jeżeli chcesz, zarekomenduję ci znakomitego krawca...

Idea ta, bez względu na sposób, w jaki ją podano, podobała się panu Karolowi. Wieczorem rzekł do żony:

— Wiesz, Maniu, że wartoby pomyśleć o przyszłości naszego wychowanka.

— I ja tak sądzę — odpowiedziała pani krótko.

— Jest on biedny, ze sprzedaży po matce zebrało się ledwie kilkadziesiąt rubli...

Z drugiej znowu strony kraj potrzebuje zdolnych rzemieślników...

Pani aż klasnęła w ręczki.

— Wyborny projekt! — zawołała.

— Oddamy go — mówił dalej — do uczciwego majstra, zgodzimy nauczyciela, będziemy w święta przyjmować u siebie. Chłopiec ukształci się i ogładzi, a gdy wyrośnie na porządnego człowieka, otworzymy mu warsztat...

— Cudownie!... pysznie!... — potakiwała pani.

— Jak nam miło kiedyś będzie powiedzieć sobie, żeśmy społeczeństwu dali użytecznego członka!...

— Ależ tak!... tak!...

— Tylko... — dodał pan — Jaś jest zbyt młody i musi jeszcze jakiś czas pomieszkać u nas.

Pani, nie odpowiedziawszy nato, zapytała po chwili:

— Do jakiego rzemiosła oddasz go?

— Do... do krawca myślę.

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy. Pan Karol wiedział, że krawiec w opinii jego żony był jedną z najniższych istot na świecie, a pani Karolowa przypomniała sobie w tej chwili ceremonię adopcji. Umilkli jednak oboje i odtąd unikali już rozmowy o Jasiu.

Trafiło się w owej epoce, że jakiś dziennik rzucił projekt otworzenia pracowni rzemieślniczej dla kobiet. Dusza pana Karola, jak bomba, naładowana była gotowością do ofiar i do nowych szlachetnych czynów. Łatwo pojąć, że artykuł o pracowniach dla kobiet spełnił funkcję lontu, i że pan Karol wybuchnął. Od owej pory, zacny filantrop o niczem już nie myślał, tylko o pracowniach dla kobiet. Wszedł natychmiast w stosunki listowne z podobnymi instytucjami za granicą, po całych dniach pisał ustawę pracowni, składał wizyty osobom wpływowym i we własnym domu urządzał sesje, na które schodziło się mnóstwo indywiduów nieznanym, lecz rozumnych i dobro ogólnie miłujących.

Wielka idea tak pochłonęła umysł pana Karola, że nawet nie zmartwił się, gdy mu doniesiono, iż jeden z jego synów nie dostanie promocji. Usłyszawszy tę wiadomość z ust żony, pan Karol wzruszył ramionami i nawzajem doniósł jej, że na otworzenie pracowni dla kobiet przeznacza dwa tysiące rubli.

W tych czasach, w sercu dobroczyńcy zaczęła się reakcja na niekorzyść Jasia. Chłopiec już mu się przykrzył. Najprzód dlatego, że pan Karol, myślący o uszczęśliwieniu trzech milionów kobiet, nie mógł jednocześnie zajmować się losem jednego dzieciaka. Powtóre dlatego, że pani Karolowa nieraz zapytywała: co będzie z Jasiem?... — przerywając tym sposobem panu Karolowi obmyślanie szerszych planów. Po trzecie, że widok Jasia był prawdziwym wyrzutem sumienia. Chłopiec ten wiecznie bał się czegoś, wszystkim ustępował z drogi, wiecznie chciał służyć innym — robił to bardzo niezręcznie... Pan Karol czuł nieraz wdzięczność dla żony, gdy nie widział Jasia przy obiedzie lub herbacie. Gdy zaś zobaczył go, przychodziła mu na myśl nieszczęśliwa ceremonia adopcji i słowa:

- Jasiu! przyjmuję cię za syna.
- Jasiu! przyjmuję cię za brata.

Położenie Jasia było tymczasem rozpaczliwe. Nie robił nic po całych dniach, a z chłopcami bawić się nie śmiał. Chętnie zgodziłby się czyścić buty swoim „braciszkom”, lecz na to niktby mu nie pozwolił, jako przybranemu synowi. Synowstwo to nie przeszkadzało jednak, że gdy się zeszło więcej gości do państwa Karolów, wówczas pani wyprawiała Jasia do jego pokoiku, gdzie mu przynoszono jedzenie.

Jaś był prawie bliski obłądu. Z dziecinnych lat zostało mu bardzo przykre wspomnienie domu pana Piotra, którego dziś chłopak żałował. Biegał on tam boszo, lecz biegał, gdzie mu się podobało. Pan Piotr wybił czasem, lecz zato ucałowała go matka. Miał się też z kim bawić: w najgorszym razie z psami. A tu i psów nie było.

Skutkiem takiego położenia, Jaś stał się chorobliwie drażliwym. To też gdy raz, przy obiedzie, pani Karolowa postawiła przed nim talerz tak jakoś niezręcznie, że się wylało trochę rosółu, sierota wybuchnął płaczem.

Niezwykły ten objaw zwrócił uwagę pana Karola, który zawsze miał dobre serce. Zaczny filantrop utulił płaczącego Jasia, skarcił żonę surowym spojrzeniem, a po skończonym obiedzie, poszedł na gawędkę do pokoiku swego przybranego „syna”, co już było wypadkiem nadzwyczajnym. Obejrzał pokój, łóżeczko, parę książek chłopczyzny i wreszcie spytał dobrotliwie:

— Nie nudzi ci się?... Cóż robisz, moje dziecko? Chwila milczenia.

— Czasem czytam, a czasem siedzę... — wyszeptał Jaś, spuszczać oczy w ziemię i owijając na palcu połę żałobnego surducika.

— Tęsknisz jeszcze?... — pytał dalej opiekun.

Jaś nie odpowiedział nic, ale na jego wyrazistej twarzą widać było taką boleść, że aż pan Karol zesmutniał i mimowoli począł się tłumaczyć:

— Widzisz, moje dziecko, ja myślę o tobie... o! bardzo myślę. Wiem, że masz zdolności i chęć do pracy i żeś przytem dobry... Z takich dzieci jak ty, wyrastają ludzie użyteczni, i ty. będziesz użytecznym pod moim kierunkiem. Pomyślę, żebyś się zaczął czego uczyć; szkoda tylko, że w tej chwili nie mam czasu... Proszę cię przytem, ażebyś

się nie poddawał zmartwieniu i ażebyś w każdej wątpliwości życia uciekał się do mnie, jak do... jak do przyjaciela. Świat, moje dziecko, jest polem walki, i szczęśliwy ten...

W tej chwili ktoś zadzwonił. Pan Karol zerwał się i wybiegł, nie dokończywszy swej mówki. Biedny Jaś nigdy się już nie dowiedział, kto jest szczęśliwy na tym świecie.

Z powodu braku nowych wrażeń, chłopczyna począł marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególnie o szarej godzinie, przymykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze na wsi, w pokoiku matki, u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogrodu. To znowu, że w kącie siedzi jeden z dwu kotków i, oblizując łapę, mruczy pacierz. Za chwilę odległy gwar uliczny przenosił go do Warszawy, i wówczas Jaś marzył, że słyszy klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy, i że matka siedzi o krok od niego.

— Gdybym tylko otworzył oczy — myślał Jaś — zarazbym ją zobaczył. Ale nie chcę, bo mi się nie podoba, i wolę siedzieć z zamkniętymi oczyma!...

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie swego pokoju czarne kontury okiennych ram, podobnych do krzyża, a raczej do dwu krzyżów. Wtedy niewiadomo skąd przychodziły mu słowa: „Kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje...”

— Krzyżyki!... krzyżyki!... — myślał! Jaś, i czekał na matkę. Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę...

dwie... kwadrans... Widać, że schody urosły, bo takie są długie, jak stąd do nieba, aż matka przejść ich nie może... Jaś jednak czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichym stąpaniem.

O matko! dlaczego idziesz tak powoli?... o matko! śpiesz się i wyrwij syna z sieci szaleństwa, które go otacza ze wszystkich stron!...

Niekiedy gorączkowe dumania sieroty przerywało gwałtowne wejście lokaja i wyrazi:

— Na herbatę!...

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokoju, zastanie Antosię, Józia, Manię, że zobaczy jowjalną twarz pana Anzelma i usłyszy jego gruby śmiech, że matka każe mu usiąść na wysokim jak drabina krzeselku i poda zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem...

Z takimi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokoik. Nagle zalały go potoki światła, i ujrzał, zamiast matki, piękną i surową panią Karolowę, a zamiast Anzelma — pana Karola, na którego dystyngowanej twarzy miejsce rubasznego uśmiechu szlachcica zajmował wyraz miłości, ogarniającej cały świat, skoncentrowanej obecnie na trzech milionach kobiet, dla których chciał otworzyć pracownię.

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany.

O matko! śpiesz się, bo duch twego syna zbyt często zrywa z rzeczywistością, a wkońcu — może zerwać z ciałem!



## VII. ZMIANA LOSU

Nadeszły wakacje, a chociaż Tadzio z trudnością, Edzio zaś prawie cudem dostał promocją do trzeciej klasy, z tem wszystkim w uroczysty dzień zakończenia szkolnego roku czekała ich w domu niespodzianka.

Gdy chłopcy wrócili ze szkoły i okazali rodzicom cenzury, matka uroniła parę łez radości, a ojciec, ozdobiwszy oblicze dobrotliwym uśmiechem, rzekł do nich:

— Moje dzieci! Wiecie o tem, że nauka uzacnia człowieka. Wiecie też, że szkoła jest obrazem życia, i że kto za młodu wypełnia gorliwie swoje obowiązki, stanie się zczasem dobrym obywatelem kraju. Nauka i sumienne wypełnianie obowiązków robią człowieka szczęśliwym — i wy też zapewne czujecie w tej chwili w młodych waszych sercach, słodkie zadowolenie...

— O tak jest, proszę ojca! — wykrzyknął Edzio, przyzwyczajony do ceremonjalnych mówek swego życiodawcy.

— Tak jest!... — powtórzył za nim Tadzio, który, jako młodszy, nie umiał w tym wypadku przyoblec się w należyłą powagę i z wielką ciekawością zaglądał do drugiego pokoju.

— Wiem — ciągnął dalej pan Karol — że obraziłbym was jakąś materjalną nagrodą za naukę i cnotę... Wszak prawda?...

— O tak, ojcie!... — zawołał znowu Edzio.

— Tak! tak!... — powtórzył za nim Tadzio, niecierpliwie oczekując na zakończenie mowy.

— Z tem wszystkim — prawił dalej pan Karol — wzamian za przyjemność, jaką mnie i matce sprawiły wasze promocje, postanowiliśmy dać wam małe upominki...

Teraz nawet Edzio zarumienił się jak wisienka, a Tadzio klasnął w rękę. Tymczasem ojciec wyniósł z drugiego pokoju prześliczny trzykołowy welocyped i fuzję, która strzelała z kapiszonów.

Reszta niezupelnie naturalnej powagi opuściła chłopców. Edzio rzucił się ojcu na szyję, Tadzio najprzód złapał fuzję, potem ucałował matkę, później — odciągając kurek, podziękował ojcu, a nareszcie — chciał usiąść na welocypedzie, który nieszczęściem był już zajęty przez Edzia.

Pan Karol czuł wielką chęć do wypowiedzenia jeszcze kilku kształcących uwag. Chłopcy jednak już go nie słuchali: zaczęli jeździć po wszystkich pokojach, strzelać i śmiać się tak wesoło, że aż Jaś wyszedł ze swego pokoiku i, stanąwszy za fotelem, pożerał wzrokiem ich piękne zabawki. Przypomniat on sobie, że i jemu matka dawała kiedyś podarunki: raz bęben, drugi raz papierowego konia na kółkach, trzeci raz blaszaną trąbkę... Wprawdzie wszystkie te cacka, razem wzięte, nie warte były welocypeda albo fuzji, a jednak...

o jakże pragnął, aby się choć we śnie wrócić i owe czasy, i ubogie cacka, i ich kochana dawczyni!

Chłopcy tymczasem, nie zważając na smutnego Jasia, jeździli, strzelali i krzyczeli, zapomniawszy o tem, że są już przecie trzecioklasistami, a nadewszystko synami ojca, który sieroty w dom przyjmował, myślał ó szczęściu całego społeczeństwa i tak budujące mowy prawil im przy każdej sposobności!

Niepomiarkowana wesołość ich nie podobała się panu Karolowi. Wziął on żonę do drugiego pokoju i rzekł do niej z odcieniem łagodnej goryczy:

— Obawiam się, droga, że chłopcy nasi nie zrozumieli tego, co mówiłem do nich?...

— Ależ, Karolu!... Ależ to być nie może!... Oni cię zawsze rozumieją... Oni są rozwinięci nad wiek! Czy nie dostrzegłeś, z jaką uwagą słuchał cię Edzio?... Ten chłopiec każdy twój wyraz pochłaniał... — mówiła pani Karolowa z wielkim zapalem.

Zadumane czoło męża trochę wypogodziło się.

— Zdaje mi się jednak, — wtrącił — że w przyzwoitej zresztą ich zabawie widzę jakiś odcień lekkomyślności...

— Zbyt surowym jesteś, mój drogi!... — zawołała pani. — Oni tym sposobem chcą ci okazać swoje przywiązanie i wdzięczność...

Pan Karol zupełnie uspokoił się i poszedł do swego gabinetu, aby tam, zdała od zgiełku, rozmyślać nad ustawą pracowni dla kobiet, które to zajęcie zaczęło go już trochę nudzić. Pani tymczasem, odwoławszy chłopców na stronę, miała z nimi długą konferencją.

Tego samego dnia, po obiedzie, na którym Jaś znalazł się przy ogólnym stole, a każdy z chłopców dostał po pół kieliszka węgierskiego wina — na intencją promocji, — miał miejsce dosyć szczególny wypadek. W chwili, gdy wszyscy mieli wstawać od stołu, pani Karolowa spojrzała wymownie na synów, Edzio trącił Tadzia kolanem, Tadzio Edzia kułakiem, — poczem obaj stanęli przed ojcem, z bardzo uroczystymi minami.

— Mamy wielką prośbę do ojca... — odezwał się Edzio.

— Chcielibyśmy uczyć Jasia... — zawołał prędko Tadzio.

— Ależ nie tak!... — zgromił go Edzio — ja będę mówił... Chcielibyśmy, żeby Jaś bawił się z nami...

— Właśnie, żeby się bawił!... — przerwał Tadzio.

— Pozwólże mówić mnie!... — upomniał go znowu Edzio. — Chcielibyśmy uczyć Jasia, a jeżeli będzie pilny, bawić się z nim...

Pani Karolowa spojrzała na męża z triumfującym uśmiechem, — rozrzewniony zaś pan Karol zabrał głos:

— Bardzo się cieszę, moje dzieci, że macie tak szlachetne popędy. Owszem, uczcie waszego młodego przyjaciela, tym bowiem sposobem od wczesnego wieku przyzwyczajacie się służyć bliźnim!

— A co, czy nie zrozumieli cię?... — szepnęła pani, nachylając się do małżonka.

Pan Karol z uczuciem pocałował ją w rękę.

Edzio zbliżył się do zdziwionego i przestraszonego Jasia i rzekł:

— Dziś dajemy ci jeszcze wakacje, a jutro zabierzemy się do lekcyj. Jak się będziesz dobrze uczył, pozwolimy ci jeździć na welocypedzie, albo strzelać z fuzji. Co ci się podoba!

Ponieważ niedługo potem pan Karol ze swoimi nad wiek rozwiniętymi synami poszedł do znajomych z wizytą, Jaś więc znowu został sam. Był on olśniony, lecz zarazem i zakłopotany. Cieszyło go to, że odtąd będzie miał rówieśników, że będzie się z nimi bawił i rozmawiał. Drżał na myśl, że strzeli z fuzji i upajał się nadzieją jazdy na welocypedzie. Pytał też ciekawie: czego mnie oni będą uczyć? — i zgóry cieszył się pochwałami za pilność. Może i państwo Karolowie, widząc jego pracę i grzeczność, pogłaszczą go kiedy, a może i ucałują, tak serdecznie, jak ta, która go od kilku miesięcy opuściła. Trzeba bowiem wiedzieć, że Jaś miewał czasami dziwne pragnienia: oto chciał kiedy przyjść z nienacka do pani Karolowej, położyć głowę na jej kolanach i ucałować jej suknię. Gdyby zamknął oczy, gdyby uczuł jej delikatne ręce na swoim czole i włosach, wówczas zdawałoby mu się, że wróciła do niego na chwilę matka, którą często widywał, lecz nigdy nie mógł dotknąć spragnionymi ustami. Miał on wprawdzie wszystkie wygody: pokoik cieplejszy i jedzenie lepsze, lecz brakło mu znajomej twarzy, głosu, pieścizot...

Z drugiej jednak strony, na dnie pięknych nadziei, Jaś czuł jakiś niesmak. Nie mógł on zrozumieć: skąd dwaj chłopcy tak nagle zapragnęli zająć się jego nauką?... Zdawało mu się, że w obietnicach Edzia i Tadzia brzmiał ten sam ton, podobny do zgrzytu piasku na szybie, jaki słyszał kiedyś w wyrazach:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna... Jasiu! przyjmuję cię za brata...

Jego sieroctwo sprawiło, że mimo wiedzy i woli stał się podejrzliwym, i że bardziej, niż kiedyś brutalnego gniewu pana Piotra, lękał się obietnic wszystkich członków tej miłosiernej rodziny.

Niebawem dostał się Jaś w ręce nowych opiekunów i nauczycieli. Chłopcy, według wskazówek ojca, podzielili się pracą: Tadzio uczył go czytać i pisać, Edzio arytmetyki i geografji. Od wykładów podobnych niech Bóg wszystkie dzieci zachowa!

Edzio kształcił Jasia w ułamkach, lecz ponieważ sam ich dobrze nie umiał, biedny więc jego uczeń z nudnych tych prelekcji zapamiętał dwa tylko twierdzenia: pierwsze — że jest głupi, a drugie — że jest osioł. Tadzio znowu, widząc, że jego wychowaniec w warunkach zwykłych czyta lepiej od niego, wpadł na oryginalny pomysł i kazał uczniowi swemu czytać z książki, przewróconej do góry nogami!...

Pani Karolowa przypatrywała się niekiedy tym pedagogicznym ćwiczeniom, lecz uważając je za zabawkę, śmiała się z nich i tała je przed mężem. Już to wogóle Jaś nie cieszył się jej względami!

Znudziwszy się wykładem arytmetyki i czytaniem, obaj chłopcy zarzucili je i wzięli się do łaciny. Zadawali Jasiowi do wyuczenia się napamięć całą deklinacją, albo kilkanaście i kilkadziesiąt słówek odrazu. Nie dość na tem: chcieli, aby się wyuczał ich w ciągu pół godziny.

Pan Karol tymczasem w ciszy gabinetu pracował nad ustawą warsztatów kobiecych, a pani Karolowa mówiła do chłopców z uśmiechem.

— Nie męczcie się tak, moje dzieci, przecież to wakacje!...

— Musimy, mamó! — odpowiadał wtedy Edzio. — Cóż z niego będzie, jeżeli w młodym wieku nie przyzwyczai się do pracy?...

Wtedy pani Karolowa, głaszcząc nad wiek rozwiniętego synka, myślała;

— Jacy oni podobni do ojca!... On wyznaje takie same zasady!

Nie poprzestając na nauce, młodzi nauczyciele stosowali jeszcze do swego wychowańca środki represyjne. Zrobili mu dziennik i zapisywali w nim bardzo szczegółowo: jak się sprawował, jak się uczył, czy był pilny i ile opuścił lekcyj?... U dołu każdego dziennego raportu podpisywali się obaj własnoręcznie.

Pewnego razu, młodzi pedagogowie, wyczerpawszy „wszelkie środki łagodności”, poszli do matki z prośbą, aby Jasiowi nie dała obiadu za lenistwo. Prośba ta nie podobała się pani Karolowej. W łagodny, lecz stanowczy sposób upomniała ona chłopców, aby się z Jasiem mniej surowo obchodzili, i odebrała im przy tej sposobności pewną „oślą czapkę”, którą Jaś prawie ciągle nosił na głowie.

Innego dnia, pan Karol, już zupełnie znudzony się ustawą pracowni kobiecych, zapytał swoich chłopców:

— No, moje dzieci, jakże się tam popisuje wasz uczeń? Chłopcy podali mu dziennik. Pan Karol przejrzał go i zapytał w obecności Jasia:

— Cóż to znaczy?... widzę tu same złe stopnie.

— Ha! cóż robić, proszę ojca, kiedy się źle uczy... — odparł Edzio.

— Czy nie ma zdolności?

— I zdolności nie ma, i trochę nie chce... Słyszając to, Jaś oblał się potem.

— Czy to prawda, Jasiu? — zwrócił się do niego pan Karol.

Jaś milczał, spuściwszy oczy; wyręczyła go jednak pani Karolowa, mówiąc:

— Oni nad nim bardzo wiele pracują, sama to widzę!... Ponieważ zaś są złe rezultaty, musi mieć zatem niewielką ochotę do książki.

Jaś wpił sobie paznogie w ręce i pierwszy raz w życiu uczył to, co ludzie dorośli nazywają: brakiem szacunku dla starszych. Pan Karol tymczasem, przybrawszy surowy wyraz twarzy, mówił spokojnie i sucho:

— Mój Jasiu! zrobiłeś mi wielką przykrość. Przypuszczam, że nie masz zdolności, lecz obok tego widzę ze smutkiem, że brakuje ci ochoty. Ponieważ zaś każdy czyn

niedobry musi być zmazany przez pokutę, my więc jutro wyjedziemy na parę dni na wieś, a ty zostaniesz w domu!

Na drugi dzień państwo -Karolowie wyjechali na wieś wraz z dziećmi, a Jaś został sam. Nowe wrażenia dostarczyły mu obfitego materiału do medytacji.

Zrozumiał dwie rzeczy: najprzód tę, że nauka udzielana mu przez chłopców, była złośliwym udręczeniem — a powtóre tę, że pan Karol postąpił z nim niesprawiedliwie. Jaś przecie uczył się kiedyś arytmetyki i pojmował ją doskonale; łatwo też domyślił się, że Edzio nie musiał być tęgi w ułamkach. Uczył się także czytać, lecz nigdy nie słyszał, aby ktoś posługiwał się książką, przewróconą do góry nogami. Uczył się wreszcie obcych języków, lecz nie tak jak łaciny.

Przypomniął on sobie, w jaki sposób matka zaznajamiała go z francuskimi wyrazami. Ile razy wyszli na spacer, i Jaś zobaczył nowy przedmiot, wówczas matka tłumaczyła mu jego znaczenie, opowiadała mnóstwo ciekawych szczegółów i wkońcu nazywała przedmiot ten po francusku. Tym sposobem, bez wysiłku, wśród zabawy, chłopiec wyuczył się mnóstwa obcych wyrazów. Umiał on nazwać: niebo, obłoki, ptaki, staw, młyn, ryby, łąkę i zwierzęta, które się na niej pasły. Wkrótce też począł układać małe zdania.

Odtąd, ile razy spojrzał na znany przedmiot, przychodziło mu zaraz na myśl jego francuskie nazwisko, gdy zaś usłyszał wyraz, wnet przypomniął sobie zapach siana, klekot młyna, ryby, wyskakujące nad powierzchnią wody, szelest trzciny na stawie, słowem, całą piękną wiejską naturę. Nudna zwykle nauka słówek dla niego była przyjemną i podniecającą rozrywką; nie dziw też, że uczył się chętnie.

Obok tego łatwego i poetycznego wykładu, jakże ponuro wyglądała łacina! W umyśle Jasia była ona podobna do strasznej jaskini, wśród której ani kroku nie mógł postąpić naprzód i w której nieustannie brzydkie sowy i nietoperze uderzały go w głowę, wrzeszcząc: mądrość — sapientia, bocian — ciconia, okręt — navis, rocznik —

annalis!... Nad tą obmierzłą czeredą unosiły się jeszcze dwa smoki: pierwsza i druga deklinacja, których nie mógł ani zrozumieć, ani zapamiętać.

I otóż zato, że czuł wstręt do straszdeł, które wypuścili na niego rówieśnicy, zato, że się nie chciał błąkać wśród ciemności, — pan Karol nie wziął go na wieś, zabraniał mu patrzeć na niebo, wody i lasy, upajać się powietrzem dzieciennych lat. A któż wie, może w niejednym z polnych ptaków, które tak stroniły od miasta, Jaś poznałby dawnego przyjaciela? Kto wie, czy w czasie wieczornej przechadzki ciepły wiatr nie przyniósłby mu dawno już niesłyszanych wyrazów: „Jasiu!... Jasiu!... wracaj do domu, bo się zaziębisz...”

A dziś, gdzie ten dom i gdzie ta, która go tak niespokojnie wzywała?...

Wyjazd państwa Karolów obudził w sercu Jasia niepokonaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodoły, kryte słomą, dwór, wyglądający z poza ciemno-zielonych liści, a wkońcu Antosię, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki, oni jedni pozostali tylko na tym świecie. Przypomniwał sobie rozstajne drogi, rozwaloną kapliczkę i pożegnanie pana Anzelma. Wszakże od tych rzeczy nawet rok nie upłynął!

Myśli te obudziły w nim, jak na jego wiek, bardzo dziwne postanowienie, i otóż — zapragnął do pana Anzelma napisać list. Pamiętał nazwisko poczty, z której pan Anzelm odbierał pisma, i wiedział, że przy bramie ich kamienicy wisiała pocztowa skrzynka. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął więc papier, polinjował go i zaczął: „Kochany panie. „Mama chciała pisać do pana, ale już umarła...”

Przeczytawszy te wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnymi łzami. „Już umarła!...” Jakie straszne słowo, i to on sam je napisał!...

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery niejednokrotnie rozptywały się we łzach. Wreszcie, po kilku dniach, rzucił zaadresowany list do skrzynki, a wkrótce potem przechodzący przez pocztę, w szafce



nieopłaconych korespondencyj, widzieć mogli między innymi adres, pisany ręką dziecinną:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł.”

Zabawny ten adres był mimo to dokładnym; na nieszczęście jednak, na kopercie nie było marki!... List musiał przepaść, choć kto wie, czy od niego nie zależała przyszłość, a nawet życie Jasia.

Gdy rodzina filantropa wróciła ze wsi, pan Karol dostrzegł w Jasiu zmianę. Chłopiec patrzył na wszystkich śmiało, lecz ponuro. Gdy Edzio i Tadzio zaczęli opowiadać mu o konnej jeździe, pływaniu czółnem i wdrapywaniu się na drzewa, przerwał im, mówiąc:

— Znam ja to lepiej od was!

I wyszedł, nie wysłuchawszy końca ich opowiadań. Nadomiar złego do książki siadał niechętnie, a gdy mu improwizowani nauczyciele wyrzucali lenistwo, odpowiadał:

— Żebym ja was tak uczył, wypędzilibyście mnie z domu!...

Zdarza się, że robak, schwytany przez dziecko, traci na chwilę przytomność i zachowuje się tak, jak rzecz martwa. Dopiero gdy go wsadzą na szpilkę, poczyną się wić i usiłuje kąsać. Jaś już się wił. Słabszy charakter w jego położeniu uległby i do śmierci pozostał zabawką dzieci i dorosłych; Jaś nie uległ, i to go zgubiło. Pan Karol bowiem, widząc nieustanne rozdrażnienie sieroty i grzeczność swoich synów, posądził Jasia o złośliwość.

— Tyle miałem sympatji dla tego chłopca — mówił raz do żony — ale on nie umie tego ocenić i, jak uważam, nie lubi ani nas, ani naszych dzieci.

— Tak zawsze bywa z cudzem pisklęciem!... — odparła żona, całując męża w zadumane czoło.

Wkrótce pan Karol znowu zapomniał o sierocie, a nawet o ustawie pracowni dla kobiet. W tym czasie bowiem, ruchliwy i wiecznie na usługi społeczeństwu oddany umysł jego zajął się kwestją budowania blaszanych śmietników dla miasta. Odtąd pan Karol począł naradzać się z technikami, blacharzami, kołodziejami — i ze swych nowych marzeń ocknął się nie prędeż, aż w domu wybuchnął skandal.

Pewnego dnia, Jaś, jak zwykle, w pokoju chłopców uczył się łaciny i, jak zwykle, nauka szła mu niesporo.

Napozór był on sam, właściwie jednak było ich dwóch: to jest on i welocyped, który stał pod piecem. Ile razy chciał Jaś skupić uwagę nad książką, tyle razy przeszkadzał mu niepoczciwy jego towarzysz. Zdawało się Jasiowi, że welocyped to rusza kółkiem, to pochyła się, jak pijany, to znowu ma taką minę, jakby się oglądał i dawał mu znaki. Gdy Jaś położył książkę, welocyped stał spokojnie jak trusia, lecz gdy znowu wziął się do roboty, welocyped znowu rozpoczynał figle, niekiedy bardzo pocieszne. Widocznie kusił chłopca.

Ponieważ pantominy te zniecierpliviły Jasia, zbliżył się więc do sprytniej maszynki i począł ją oglądać. Potem wsiadł na nią i... ostrożnie przejechał po pokoju.

W chwili, gdy jeździec i koń zawrócili się zpowrotem do pieca, skrzypnęły drzwi, i do pokoju wpadli obaj chłopcy.

— Czy widzisz?... — krzyknął do brata rozgniewany Edzio. — On jeździ, zamiast się uczyć!...

— Złaż zaraz, ty ośle... — zawołał Tadzio i, porwawszy Jasia za ramiona, gwałtownie pochylił go wtył.

Szarpnięcie było tak bolesne, że Jasiowi świeceki stanęły w oczach. Broniąc się, machnął tak nieszczęśliwie ręką, że uderzył Tadzia w twarz.

Rozpoczęła się krótka, lecz gwałtowna walka, w ciągu której Jasiowi krew popłynęła z nosa, a obaj chłopcy mieli popodbijane oczy. Na odgłos bitwy wpadła do

pokoju pani Karolowa, przed którą Edzio i Tadzio usprawiedliwili się bardzo prędko, oskarżając Jasia, że ich zbił pięściami i powydzierał im włosy z głowy.

Pani Karolowa znalazła się przy tej sposobności jak lwica w obronie lwiątek. Nozdrza się jej rozdęły, oczy zaszyły łzami... Nie pytając o powód kłótni, ani patrząc na nos Jasia, krzyknęła drżącym z gniewu głosem:

— Precz mi stąd!... nie godzien jesteś bawić się z memi dziećmi, niewdzięczniku!...

Wzburzony Jaś pobiegł do swego pokoiku i upadł tam na łóżko. Niedługo usłyszał nowy hałas: to synowie i matka oskarżali go przed panem Karolem. Biedny chłopiec był już przygotowany na plagi; szczęściem, wkrótce wszystko ucichło.

Upłynęła godzina jedna i druga. Gniew Jasia ochłonął, lecz zato wrócił niepokój.

— Co oni myślą robić ze mną?... — szeptał przerażony.

Nadeszła pora obiadowa, i milczący lokaj przyniósł Jasiowi do pokoju jedzenie; lecz chłopiec niczego nie dotknął, myśląc ciągle: co z nim będzie?...

Po upływie dwudziestu czterech godzin, służący wezwał Jasia do gabinetu pana. Sierota zastał pana Karola, jego żonę, obu synów, a na biurku mały model blaszanego śmietnika, nad którym obecnie pracował filantrop.

— Jasiu! — zaczął pan Karol bez żadnej oznaki gniewu. — Przyjąłem cię do domu, w nadziei, że potrafisz być wdzięcznym, a przynajmniej znośnym. Ty jednak byłeś skrytym, upartym, leniwym, nie okazywałeś nam żadnego przywiązania, a w dodatku, wczoraj skrzywdziłeś moich synów. Ponieważ w społeczeństwie złe postęпки nie mogą być przepuszczane bezkarnie i ponieważ sprawiedliwość wymaga przede wszystkim usunięcia przyczyn złego, jestem więc zmuszony oddalić cię z mego domu. Pójdiesz do rzemiosła!... Jaś stał nieporuszony; pan Karol mówił dalej:

— A teraz, kiedy sprawiedliwość została wymierzona, my przebaczymy ci wszystko złe, któreś nam wyrządził... Tadzio, podaj rękę Jasiowi!

— Ojczy! — odezwał się w tej chwili Edzio — mój brat nie może podawać ręki temu, który go uderzył w twarz!...

Na te słowa, myślące oblicze pana Karola rozjaśniło się. Rzekł więc:

— Moje dzieci! Jakkolwiek zawziętość jest wadą, cieszę się jednak, że umiecie szanować swoją godność...

I powiedziawszy to, znakomity filantrop spojrział najprzód na swoich synów, potem na model śmietnika, a wreszcie pocałował żonę w rękę i szepnął jej do ucha:

— Jest to jeden z piękniejszych dni w moim życiu!...

W parę godzin potem wezwano Jasia powtórnie do gabinetu. Sierota zobaczył pana Karola na fotelu, a przy drzwiach jakiegoś człeczynę z czerwonym nosem.

— Jasiu — rzekł pan Karol — oto jest twój nowy opiekun, który cię dziś weźmie do siebie. Upakuj rzeczy.

Gdy Jaś wrócił do pokoju, nieznajomy udał się za nim i biorąc poufale chłopca za klapę surducika, zapytał: — Ten surdut to chyba nie w Warszawie robiony?...

— W Warszawie, panie!... — odparł Jaś bojaźliwie.

— Jak się pouczysz u mnie, mój mały, ze sześć lat, to będziesz lepsze robił!... — mruknął nieznajomy opiekun, który był krawcem.

Pożegnanie sieroty z panem Karolem i jego żoną było oziębłe. Gdy Jaś wyszedł już na schody, wybiegła za nim stara kucharka i wsuwając mu w kieszeń kilka dziesiątek, szepnęła:

— Bywaj zdrów, moje dziecko!... Może się ludzie lepiej na tobie poznają.

Jaś, który nigdy nie rozmawiał z tą kobietą, spojrział na nią zdziwiony.

— Tak! tak! — mówiła dalej. — Dobre z ciebie dziecko i zdatne, tylko zwyczajnie sierota!...

Jaś rozplakał się i pocałował ją w rękę. Z ust tej kobiety pierwszy raz dopiero usłyszał serdeczne słowo w domu grzecznych, moralnych i miłosiernych marjonetek.



## VIII. NOWY PRZYJACIEL

Pan Kalasanty Durski, majster krawieckiego kunsztu, mieszkał w okolicach Starego Miasta, gdzie w pewnej kamienicy na dole posiadał sklep z żoną, a na drugim piętrze warsztat z odpowiednią liczbą chłopców i czeladników. Był to człek starej daty; nosił na grzbiecie surdut z długim stanem, a pod czerwonym nosem wąsy, które skutkiem podgolenia przypominały wycior do cybuchów. Grywał przytem niekiedy na basetli i miłował swoją rodzinę, tudzież krajowe trunki.

Z takim opiekunem szedł Jaś na nowe mieszkanie, a choć droga była niewielka, zjadła im jednak dużo czasu. Na każdej ulicy pan Durski zostawiał Jasia na flizach, a sam „wstępował za interesem.” Chłopiec dostrzegł, że interesa te zawsze przypadały w cukierni lub bawarji i że musiały iść dobrze, ponieważ pan Kalasanty stawał się coraz rzeźwiejszym.

Nareszcie opiekun i wychowawiec dosięgli „magazynu ubiorów męskich”, w którym znaleźli chudego i zaspanego chłopca, imieniem Jędrus, i bardzo otyłą damę — samą panią Durską. Wobec damy tej Jaś złożył ukłon, a pan Kalasanty, stanąwszy na rozkraczonych nogach, zawołał:

— A co! szanuję nas ludzie!... Oto jest — mówił, wskazując na Jasia — ten chłopak, co nam go dali w opiekę. Tamci go, panie, wzięli, ale że był niewdzięcznik, uparty i kawalerów trochę w zęby poszturgiwał, więc go, panie, oddali do mnie, do Durskiego!... U mnie, panie, czysty dom poprawy... Wszystkich łajdaków mi oddają z całego świata! Cóż ty na to, Franiu?...

Otyła dama bacznie przypatrywała się Jasiowi. Widząc to, pan Kalasanty zadarł mu głowę dogóry, uszczypnął w policzek i mówił dalej podniesionym głosem:

— Powiadam ci, Franiu, że to chłopak z edukacją, tylko trochę łajdak, i dlatego do mnie go oddali... do Durskiego! Ale jak ja mu, panie, przyfastryguję kilka rzemieni

pod sprzączkę, to wyrośnie z niego anioł... jak Jędrus!... Daj-no, Franiu, złotówkę, muszę iść do miasta.

— Przecieżeś dopiero wrócił z miasta... — odparła dama niechętnie. — Poszedłbyś lepiej na górę, bo tam stają na łbach...

— A ja poco na górę?... — oburzył się majster. — A od czego ja trzymam Panewkę?... A kto będzie za interesami chodził?... Daj, Franiu, złotówkę!...

Pyzata i jakby nalana twarz damy ożywiła się.

— Patrzcie go ś m i r u s a, on mi tu będzie interesami zawracał!... — krzyknęła dama. — Nie dam nic... siedź w domu!... Nie bój się, nie zbankretują bawarje, jak dziś nie pójdziesz.

— Jakie znów bawarje?... Muszę przejść po dłużnikach, bo mi pieniądze przepadną. Dajże choć dwadzieścia groszy.

Dama, znudzona, wydobyla z kantorka dużą dziesiątkę i doręczyła ją mężowi, który wyszedł ze sklepu, mrużąc:

— Każdy umie brać na kredyt, a za pieniędzmi sam lataj!...

— Jędrus!... — rzekła majstrowa do chudego chłopca — a wyrzyj-no oknem, gdzie pan poszedł?...

Chłopak stanął przy szybie i, popatrzwszy jakiś czas, parsknął śmiechem.

— Co tam znowu!... — zapytała dama.

— A bo, proszę pani majstrowej, pan majster pokazuje, że mi da kopsa! — odparł chłopak, zatykając rękami usta.

— A gdzie poszedł?

— Jużci, że do dziurki!... Tam teraz przywieźli świeże piwo.

— Śmirus!.. wałkoń!... — lamentowała dama. — Żeby on tak często chodził do kościoła, jak na bawarje, toby go żywcem do nieba wzięli...

Skończywszy te sentencje, ziewnęła, zamyśliła się, a potem zawołała na chłopca:

— Jędrekl!...

— Słucham pani majstrowej!...

— A skocz-no po kufelek piwa i rachuj który, bo oni nas zawsze okpiwają.

Gdy chłopiec przyniósł piwo, pani majstrowa wypła je duszkiem, i zamknąwszy oczy, przesiedziała tak z pół godziny. Potem zaś, zwróciwszy się do Jasia, mówiła zwolna:

— Tak! tak! mój kawalerze... choć masz edukacją, oddali cię do rzemiosła. Ze mną było to samo: mogłam wyjść za urzędnika, a wyszłam za krawca... Siedzę też teraz za kontuarem i świecę ludziom oczami... Tak to, tak!... Jędruś!...

— Słucham pani majstrowej!... — odparł drzemiący chłopak.

— Skocz-no po kufelek piwa!... A który to idzie?...

— Dziewiąty, proszę pani majstrowej.

— Jak to dziewiąty?... liczyłam przecież po szybach, i jeszcze mi jedna została.

— Ale dziewiąty, proszę pani majstrowej!... — twierdził zuchwale chłopak, choć w tej chwili miał bardzo czerwone uszy i ponure wejrzenie.

Do takiego to majstra wszedł Jaś „na poprawę.” Z początku trzymano go w sklepie, później jeden dzień siedział w sklepie, drugi na górze w warsztacie. Głównym zajęciem jego było chodzenie za sprawunkami i odnoszenie posyłek. Niekiedy kazano mu przyszywać metalowe guziki do tej części ubrania, którą brzydzą się sankiuloci; niekiedy polecano bawić dzieci, których państwo Durscy mieli dwoje. Że zaś jedno z nich nazywało się Jasiem, naszego więc małego przyjaciela dla odróżnienia nazwano-Jaśkiem.

Sierota prędko zniechęcił do siebie całe otoczenie. Według zwyczaju, pan majster, zamiast śniadania, dawał chłopcom po sześć groszy. Chłopcy pieniądze te składali razem i kupowali wódkę i bułki, a ponieważ Jaś nie chciał pić wódki, terminatorzy znieawidzili go „za ambitność.”



Znacznie gorsze było to, że nie lubiła go majstrowa. Wszyscy chłopcy, za obiady i kolacje, całowali ją w rękę; chudy Jędrus robił to częściej nawet niż inni, Jaś — tylko się kłaniał.

— Jaki mi... z pańskiej psiarni!... — mawiała też często majstrowa. — Dlatego, że niby to uczył się po francusku, to mnie już nie może pocałować w rękę... Fąfel!...

Potem zaś, wysapawszy się, wołała:

— Jędreku!

— Słucham pani majstrowej! — odpowiadał chłopak, przecierając oczy.

— Skocz-no po kufelek piwa... A tylko dobrze rachuj, bo oni strasznie oszukują. U majstra Jaś także nie miał łaski.

— Co on sobie myśli, ten błazen?... — oburzał się nieraz pan Durski. — U niego czelani pan, ja — pani wszyscy panowie... Jakby był udzielnym księciem, a nie przybłędą!

I często gromił Jasia, a jak obecnie — Jaśka, któremu znów tytuły: „pan majster” i „pani majstrowa” — z trudnością przechodziły przez gardło.

Pan Kalasanty nietylko nie lubił, ale nawet z pewnego rodzaju wzdargą spoglądał na sierotę. Majster miewał ciągle interesa do miasta, skutkiem czego ciągle trzeba go było szukać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wszystkie sprawy, mające na celu podniesienie krajowego przemysłu, koncentrowały się w pobliskiej bawarii, gdzie chłopcy z całą łatwością odnajdywali swego przewodnika i chlebobawcę, zawsze przy tym samym stole i kuflu.

Pewnego dnia, Jaś został wydelegowany do sprowadzenia, z bawarii pana Durskiego. Chłopiec poszedł tam i znalazł opiekuna w wesołym towarzystwie ludzi statecznych.

— Oho, patrzcie! — zawołał majster, ujrawszy go. — To ci, panie, chłopiec!... On ci, panie, nawet po francusku gada, kiedy chce a przecież do mnie oddali go na edukację!

— Fiu!... fiu!... — zagwizdał jeden z obecnych, który miał minę senatora, a wyglądał na rzeźnika.

— Nie wierzycie?... — spytał majster, usiłując utrzymać się na krzeselku z godnością. — Powiedz zaraz, chłopak, jak się mówi po francusku: piwo, wódka, albo... surdut?...

Gdy zawstydzony Jaś wyrazy te przetłomaczył, majster zapytał zkolei:

— Poczóż tu przyszedł?

— Pani prosi pana do sklepu.

— Nie głupim!... — odparł skwaszony nieco pan Kalasanty. — Powiedz, że ja odejść nie mogę, że mam tu interesa... że tu jest jeden kupiec z Petersburga, co robi u mnie obstalunki!...

Obecni buchnęli śmiechem, pan majster zaś rzekł, podając Jasiowi kufel:

— No! masz... napij się, a gadaj, jak ci powiedziałem. Jaś podziękował za piwo, a pan majster aż skoczył ze zdziwienia.

— Nie pijesz piwa?... — krzyknął. — Hej!... Zośka!...

daj-no temu małemu kieliszeczek anyżówki!... Dopiero pozna co to smak...

Jaś i za anyżówkę podziękował i prędko wrócił do sklepu, gdzie pani majstrowa z łatwością wybadała go, że jej mążonek pije piwo i że zastała się jakimś petersburskim kupcem.

Pan Durski, dowiedziawszy się o tem, plunął z gniewu.

— Nic z niego nie będzie! — mruczał. — Nie zna się na piwie i roznosi plotki!...

Wśród zgrai niechętnych, Jaś znalazł przyjaciela, w osobie czeladnika Panewki. Pan Ignacy Panewka był to człeczyna młody, przysadzisty, niezgrabny, z wielką głową, ozdobioną włosami prostymi jak druty, pałkowatym nosem i wypukłymi oczyma. Pracował okrutnie, i on to utrzymywał warsztat Durskiego, a że krajał jak nikt w Warszawie, śpiewali więc o nim chłopcy:

Pan Panewka, Psia podszewka, Kraje jak Szabu, A głupi jak but.

Ponieważ rodziny nie miał (przed dwudziestu kilkoma laty spadł z deszczem około szpitala Dzieciątka Jezus), przywiązał się więc do swego majstra i, pomimo częstych kłótni, siedział u niego od kilku lat. Dzień, w którymby Ignacy na dobre rozdzielił się z Burskim, byłby ostatnim dla warsztatu, sklepu i reputacji znakomitego krawca.

Ten Panewka był osobliwym człowiekiem. Nie miał ani rozumu, ani ukształcenia, lecz jakiś dziwny instynkt, który go popychał do sympatyzowania i naśladowania tych, których uważał za doskonalszych od siebie. Na nieszczęście, ideały owe były mniej niż skromne. Jeden z nich nosił włosy rozpołowione na przodzie i rękawiczki wątrobiastego koloru, i otóż pan Ignacy nie używał odtąd innych rękawiczek i nie czesał inaczej głowy. Ktoś drugi imponował mu siłą i awanturniczym duchem; wnet zatem Panewka zapragnął mu dorównać: porwał się na jakiegoś drągala, został przez niego sromotnie pobity i w dodatku — poszedł do kozy na parę dni.

Ponieważ Durski miał przysłowie „panie” i mógł wypić odrazu kilkanaście kufli, więc i Panewka mówił „panie” i przepijał cały zarobek. Usłyszawszy raz, że ktoś tam zjadł dwanaście jaj na twardo, idealista postanowił spróbować tej samej sztuki i dostał zapalenia kiszek, z którego ledwie wylizał się po paru miesiącach.

Na tej nierozwiniętej a gwałtownie wydzierającej się ku lepszemu duszy, sierota zrobił ogromne wrażenie. Panewka znowu zapragnął go naśladować. Ponieważ Jaś był ładny, pan Ignacy zatem całe godziny spędzał przed lustrem, badając, o ile jego pałkowaty nos, szerokie usta i kanciaste policzki czynią go podobnym do miłego chłopczyny?... Jaś nosił włosy krótkie, i wnet Panewka ostrzygł głowę przy samej skórze, uwydatniając tym sposobem wielkie i odstające uszy. Jaś — Burskiego tytułował tylko „panem” i otóż Ignacy począł mówić „panie” i „pani”, zamiast jak dotychczas „panie majstrze” i „pani majstrowe”. Że jednak reformy te szły mu

niezgrabnie, wyśmieli go więc wszyscy, nieboraka, a Jaś od pana Kalasantego dostał za uszy.

„Szukajcie królestwa Bożego,” — mówi Pan; Ignacy szukał go, lecz nie umiał znaleźć. Czuł on, że jaja na twardo nie zrobiły go doskonalszym, ani ostrzyżenie włosów podobnym do Jasia. Co gorsze, nie wiedział nawet, jakie przymioty chłopca czyniły go tak sympatycznym?

Pewnego razu, gdy byli sami, zapytał sieroty:

— Widziałeś ty kiedy człowieka uczciwego na świecie?... Ale takiego, że nu!...

— Oj! oj! — odparł Jaś potakująco.

— Kto on taki?

— A pan Anzelm i... moja mama... — dodał ciszej.

— Cóż oni takiego zrobili?...

— Oni wszystko dobrze robili!... — odpowiedział chłopiec.

„Wszystko dobrze robili!...” W tem to i sęk. Panewka też dobrze robił — krawieczynę; ale o reszcie dobrych czynów nie wiedział. W pierwszej chwili chciał nawet zapytać Jasia: co to znaczy robić dobrze? Ale przyszło mu na myśl, że jest przecie czeladnikiem, a Jaś terminatorem, dał więc spokój. Odtąd jednak coś go trapiło we wnętrzu, i czy się ubierał, czy krajał, czy pił, zawsze myślał: co to znaczy robić dobrze, ale tak dobrze, że to nu!... Był on ziemią, która oczekiwała niebieskiej rosy.

Innym razem słyszał Panewka, jak Jędrus mówił do chłopców:

— Ten podły Jasiek psuje nam interesa! Nie chce nic brać od kundmanów za odnośnienie, a jak co wytarguje na mięsie, to oddaje majstrowej... Lizus!...

Błyskawica oświeciła ciemny umysł Panewki; przeczuł on, że oddawanie pieniędzy majstrowej należeć musi do czynów dobrych.

Ponieważ na drugi dzień przypadała niedziela, więc pan Ignacy (który nie mieszkał u Burskiego), wybrał się z wizytą do Jasia. Zastał go na strychu, gdzie wszyscy terminatorzy sypiali.

Po krótkiej pogadance, która się ciągle urywała, czeladnik nagle zapytał chłopca:

— Dlaczego ty sobie nie bierzesz koszykowego, głupi?... Miałbyś przecie trochę własnych pieniędzy...

— Ja nie chcę kraść! — odparł z oburzeniem sierota.

— Głupi! głupi! — mruczał zmieszany Panewka, usiłując nadrobić miną. — Przecież co utargujesz w jatce, to twoje.

— Co to, to chyba nie! — odpowiedział Jaś. — Jeżeli się potrzeba z czym kryć, to już jest źle.

Ignacy oparł wielką głowę na rękach i po długim milczeniu zapytał:

— No, a jeśliby kto brał tak guziki, igły, nici, albo kawałek aksamitu — to także źle?...

— Rozumie się! przecież to złodziejstwo.

Czeladnik wyprostował się jak sprężyna; przeszedł się parę razy po strychu i począł mówić:

— Głupstwo!... Jak będziesz brał choćby igły i nici z warsztatu, to ci fuszerka taniej wypadnie, i możesz pójść czasem na Pragę, a czasem do teatru. A jak nie będziesz brał, to i nic nie zarobisz, i jeszcze cię inna czeladź nazwie durniem. Co ci z tego przyjdzie, że majstrowi jakiś tam kawałek podszewczyny, albo kortu zostanie?...

— Będę wiedział o tem, że robię dobrze... Inni niech gadają, co chcą! — odpowiedział Jaś krótko.

Nowa błyskawica olśniła Ignacego. Do tej pory sądził on, że tylko to jest dobre, co ludzie chwala; teraz poznał, że nad opinię ludzką istnieje wyższy probierz:

przekonanie o dobrem. Nie można powiedzieć, aby o probierzu tym nie słyszał nigdy; dziś jednak, pod wpływem przywiązania do sieroty, poczuł i zrozumiał jego wartość.

Odtąd, był to już inny człowiek, a w ciągu następnych paru tygodni pan Durski przekonał się, że mu w warsztacie wychodzi mniej materiału.

Innej niedzieli, pan Kalasanty znowu wyszedł za „intereselem,” a pani Kalasantowa znowu wysłała Jasia, aby poszukał jej męża. Chłopiec udał się do bawarii i przy zwykłym stole zobaczył Panewkę i Durskiego, który zawzięcie dysputował z jakimś nieznanym jegomością.

— Stawiam w zakład dziesięć kufli piwa, że prawda!... — wołał zaperzony majster.

— Trzymam! — odparł z uśmiechem jegomość.

W tej chwili pałające spojrzenie Durskiego padło na Jasia, więc krzyknął:

— On nam powie!... to chłopak z edukacją!... No, powiedz mi zaraz, tylko nie zeżyży, czy do Ameryki można dojechać końmi?...

— Ale gdzież tam! — śmiało odparł Jaś. — Przecież Ameryka leży za oceanem A...

Nie dokończył, bo majster schwycił go za kołnierz i wyrzucił za drzwi, mrużąc:

— On mi tu jeszcze będzie gadał!... Przecież nieraz czytałem o herbacie lądowej; a gdyby Ameryka...

Ale i on nie dokończył, przerwał mu bowiem kipiący z gniewu Panewka:

— Co pan majster będziesz chłopaka wyrzucał za drzwi jak psa?... Co to! czy on pański syn?

I pogroził mu pięścią.

Podchmielony nieco majster otrzeźwiał.

— A ty mi jakim prawem będziesz wygrażał?... — krzyknął. — A tyś co za jeden?... Skórka na buty!... he?...

Niewiele już brakowało, żeby się chwycili za krawaty. Szczęściem, rozbrojono ich i odprowadzono nabok rozjuszonego czeladnika, który wciąż wołał:

— Już ja u ciebie, śmirusie, robić dłużej nie będę!... A jak mi chłopca skrzywdzisz kiedy, to cię tak wystębnuję, że z ciebie nawet kotletów nie wykroją!...

Był to dzień fatalny, pan Durski bowiem nietylko przegrał dziesięć kufli piwa, ale jeszcze — miał stracić czeladnika, swoją prawą rękę w warsztacie i handlu! Myśl ta otrzeźwiła go zupełnie, wrócił więc do domu smutny i położył się spać.

W poniedziałek Ignacy od rana nie przyszedł do roboty, majster więc musiał go zastępować na górze, upomniawszy żonę, aby dała mu znać natychmiast, skoro się zjawi Panewka. Nareszcie, tak niecierpliwie oczekiwany czeladnik przybył koło dziesiątej, żądając ukończenia rachunków i dziękując uroczyście za miejsce.

W tej chwili Jędrrek poleciał do warsztatu, a pani Durska odezwała się płaczącym głosem:

— Co też to znowu panu Ignacemu do łba strzeliło?... Rzucąc nas, takich przyjaciół, takich... co to żebyś pan z latarnią szukał, nie znajdziesz na całym świecie!

Panewka milczał.

— No, panie Ignac, szoruj pan na górę!... stary kazał na przeprosiny kupić pół kwarty anyżówki, no!...

Ponieważ w tej chwili usłyszano jakiś krzyk w podwórzu, więc majstrowa i czeladnik wyszli do sieni. To Durski wołał z ganku drugiego piętra:

— Ignaś!... Ignaś, psia wiaro!... Kim na górę!... Palniemy sobie po kieliszku...

— Nie chcę!... — odpowiedział tym samym głosem czeladnik, otrząsając się gniewnie.

— Aaa!... Jakiż z ciebie Ignac, mój ty Ignaś! — wołał znowu majster. — No, chodźże do mnie!... Ja już zeszedłem na pierwsze piętro, chociażem majster i mógłbym być twoim ojcem... Chłopcy! a weźcie się do niego...

Po tych słowach, zbiegli ze schodów z wielkim łośkotem dwaj najsilniejsi terminatorzy, a jednocześnie z ganków i okien poczęli wyglądać lokatorowie. Lecz choć chłopcy wzięli go pod oba ramiona, a otyła Durska poczęła z całych sił rękami i głową podpierać mu plecy, uparty Panewka ani drgnął. Dopiero gdy Jaś przybiegł do niego i szepnął słówko, czeladnik zmięknął odrazu i milcząc poszedł do roboty.

Teraz już poznali wszyscy, jak wielką władzę ma nad Ignacym sierota, i — znienawidzili Jasia jeszcze bardziej.



## IX. FIGIEL POCZCIWEGO JĘDRUSIA

Po owej awanturze z majstrem, Panewka jeszcze bardziej zbliżył się do Jasia, coraz częściej składał mu wizyty lub zapraszał do siebie. Na jednej z takich wizyt zapytał sieroty:

— Skąd. ty wiesz, że Ameryka jest za morzem?

— A z książek — odparł Jaś.

— Książki! — mruknął czeladnik, skrobiąc się w głowę.— Djabło to droga rzecz...

— Niebardzo. Za kilka złotych można mieć wcale porządną...

Panewka zamyślił się, a potem rzekł nagle:

— Żebym ja tak nie pijał piwa, to wiele możnaby mieć książek na rok?

— Eh! — zawołał Jaś — chyba ze sto!

Ignacy złapał się za głowę; następnie zaś, z wielkiem zakłopotaniem, począł mówić:

— Bo to widzisz, jabym tak chciał wiedzieć jedno i drugie, alem... trochę słaby w czytaniu, i w pisaniu nietęgi. Żebym miał przy kim przypomnieć sobie...

Jasiowi zamigotały oczy.

— Ja pana nauczę... wszystkiego nauczę! — krzyknął, chwytając czeladnika za rękę.

I stanął układ. Panewka zarzucił piwo, wyrzekł się teatru, a natomiast począł kupować książki, które dawał Jasiowi. Jaś zato uczył go czytać, pisać, trochę rachunków, a nadewszystko opowiadał mu mnóstwo ciekawych rzeczy.

Odtąd, każdy świąteczny dzień, od rana do nocy, spędzali razem. Lekcje trwały krótko, lecz zato — prawie końca nie było czytaniu. Jaś pełnił obowiązki lektora, a czeladnik słuchał i pożerał wzrokiem chłopca.

Czy Jaś rozumiał swój wpływ na czeladnika i jego niezmierne przywiązanie?... o tem godzi się wątpić. Chłopiec lubił go, lecz bardziej jeszcze książki, których mu dostarczał Ignacy. Czuł on, że między nimi istnieje niezapełniona przepaść, jaka istnieć może między dwoma umysłami: czynnym i biernym, tudzież między dwiema osobami, z których jedna jest tępą, flegmatyczną i szorstką, druga zdolną, ognistą, wrażliwą i dobrze wychowaną. W tym więc czasie, gdy Panewka nie mógł prawie żyć bez Jasia, Jaś obywatel się bez niego doskonale, a nawet niekiedy nudził się nim. Istotnie, owe wiekuiście a niezawsze rozsądne pytania, owe wpatrywanie się w oczy, ślepa wiara we wszystko, co wychodziło z ust chłopczyny, mogły zaciężać nawet wytrawnemu człowiekowi. Bezmierne przywiązanie zawsze nakłada pewien rodzaj pęt na osobę ukochaną, i dlatego łatwo może się sprzykrzyć.

Z rodziną pana Karola stosunki Jasia zerwały się zupełnie. Będąc już w terminie, sierota odwiedził ich kilka razy. Za pierwszym razem pani pogadała z nim w przedpokoju i kazała nakarmić w kuchni. Za drugim razem pan Karol palnął mu długą mówkę, w której radził kochać, szanować i słuchać majstra, i — zarabiać na przychylności kolegów. Za trzecim razem — zamknięto chłopcu drzwi przed nosem. Odtąd ani razu nie poszedł tam i począł uczuwać w sercu niechęć do znakomitego filantropa, którego rady, w oczach Jasia, nie miały sensu. „Słuchać majstra” — a więc pić piwo i wódkę, pochlebiać i niekiedy kłamać! „Zarabiać na przychylności kolegów?” — a więc kraść i znowu kłamać!... Rozmyślając nad tem kazaniem, Jaś wzruszył ramionami, choć miał dopiero lat jedenaście.

Wśród takich wypadków minęło lato, jesień, a nawet i Boże Narodzenie. Jaś na kolędę dostał od majstra nową kamizelkę, a od pana Karola następujący liścik, zaadresowany na imię Durskiego:

„Jasia nie proszę na święta, ponieważ prawdopodobnie sam nie będę w domu. Z pieniędzy pozostałych po nieboszczce, a ulokowanych przeze mnie w kasie oszczędności, posyłam rs. 10 na zakupienie rzeczy dla Jasia potrzebnych.

Przypominam mu też, aby był dobrym i westchnął niekiedy za duszę matki. Uniżony sługa Karol."

Pan Kalasanty list ten odczytał głośno, wobec wszystkich terminatorów i czeladników, szczególny kładąc nacisk na wyrazy: „Wielmożny pan Durski" i „uniżony sługa," — a potem dodał od siebie:

— O widzisz!... Masz być dobrym i wzdychać czasem za duszę matki... „Uniżony sługa..." To jakiś porządny, panie, człowiek z tego Karola!...

Jaś, wysłuchawszy, ścisnął pięści. Czuł on, że pan Anzelm nigdy nie napisałby podobnego listu.

Przez całe święta państwo Durscy hulali jak para aniołów. Po świętach, na Jana Ewangelisty, zamknęli sklep z okazji imienin swego synka, a na Młodzianków otworzyli sklep, lecz, zostawiwszy w nim Jasia i Jędrusia, sami wyszli do miasta. Przypomniała sobie pani Durska, że najprzód, dziś wypadają urodziny stryjecznej siostry jej ciotki po ojcu, a powtóre, że jutro będą musieli oboje siedzieć w domu, ponieważ Panewka chce wyjść za interesami.

Z dwu chłopców, pilnujących sklepu, Jasia już znamy, warto więc poznać i Jędrusia. Jędrus był to poczciwe dziecko, jak mówili państwo majstrowie. Robić wprawdzie nie lubił, ale zato mógł cały dzień — siedzieć i drzemać. Był też niestychanie przwiazanv: za byle co całował majstrowę w rękę, a majstra nigdy z żadnego sekretu nie wydał. Doskonały ten chłopiec posiadał przecież dwie wady: miał tępą głowę do rachunków i nie miał szczęścia do świata.

Jeżeli był posłany z rublem do miasta, a zrobił sprawunek za sześć złotych, wówczas przynosił szesnaście lub osiemnaście groszy reszty. Gdy go pytano: gdzie cztery grosze? — dziwił się, płakał, całował po rękach, twierdząc jednak uparcie, choć łagodnie: że przyniósł reszty rychtyg tyle, ile było trzeba.

— Oto ci dopiero zakuty łeb! — krzyczał wtedy majster, zlekka targając go za uszy.

Niekiedy bywało gorzej, i trafiało się, że jakiś łotr na ulicy wydzierał pocziwemu Jędrusiowi po kilka złotych z ręki, a nawet raz wyrwał mu ktoś nowe spodnie, które odnosił. Wówczas pan majster chciał mu koniecznie „przyfastrygować kilka rzemieni pod sprzączkę," lecz broniła go majstrowa.

— Daj spokój! — mówiła tłusta dama — czyż się godzi bić za nieszczęście? To bywają tacy ludzie! Jednemu szydła gołą, a drugiemu i brzytwy nie chcą.

Wyznać jednak należy, że pocziwemu Jędrusiowi — szydła goliły zbyt często.

Otóż w dzień Młodzianków, gdy majstrów już od paru gogodzin nie było w domu, a z gości nikt nie przychodził, pocziwy Jędrus odezwał się do Jasia:

— Przyniósłbyś tam jaką książkę do czytania, bo się okropnie nudzi.

Usłyszawszy to żądanie z ust zawołanego próżniaka, Jaś zdziwił się, lecz mimo to pobiegł na stryszek. Zabawił z dziesięć minut, a wróciwszy, dostrzegł, że pocziwy Jędrus jest ogromnie zmieszany, i że mu drżą ręce. Nie zastanawiając się jednak nad tem głębiej, otworzył książkę i za chwilę utonął w czytaniu.

Tego samego wieczora, pani Durska, odsunawszy sklepowy kantorek, zapytała męża:

— Czyś ty brał pieniądze, niedołęgo?...

— Nie... albo co?

— To, że nam brakuje kilkanaście rubli, ty pijaku!... — zawołała oburzona dama,

— Jezus! Marja!... — krzyknął zupełnie już trzeźwy pan Durski. — Pewnie nas kto okradł!

— Jużci że okradł, a ja nie wiem nawet, czy dziś czy wczoraj!...

Za szafami rozległ się szelest, na który jednak małżonkowie nie zwrócili uwagi.

Po chwili namysłu majster rzekł:

— Nie gadajże nic nikomu... Jak jutro chłopcy będą w warsztacie, zrewiduję ich kufarki. Czy pamiętasz, jakie były pieniądze?

— Był jeden papier dziesięciorublowy... był znowu trzyrublowy sklejony, i tenbym poznała. Także srebrna pięciozłotówka i dwuzłotówka...

— Znajdzie się to! — mówił majster — tylko siedź cicho. Dzięki Bogu jeszcze, że się do grubych pieniędzy nie dobrał!...

W tej chwili uchyliły się pocichuteczku drzwi od strony podwórza, i z poza szaf sklepowych wysliznęła się ostrożnie jakiś cień, skurczony i drżący. Ale majstrowie i tego nie zauważyli.

Okolo północy, na strychu, podczas gdy wszyscy chłopcy pogrążeni byli w głębokim śnie, ten sam cień przypełzał do pościeli Jasia, począł przysłuchiwać się jego spokojnemu oddechowi, a wreszcie wyszeptał głosem, przypominającym syk węża:

— Jasiu!... Jasiu!...

Szept ten nie rozbudził sieroty, lecz podsunął mu marzenie. I otóż śniło się Jasiowi, że jest w nieznanym sobie ciemnym pokoju, z którego ktoś ukryty w sąsiedniej izbie usiłuje go wywabić, szepcząc:

— Jasiu!... Jasiu!...

Chłopiec znał skądciś ten głos, lecz go się lękał. Zdawało mu się, że osoba, ukryta za drzwiami, musi być przebrana w stare i zleżałe kobiece suknie i że jest straszna. W niepojęty sposób odgadywał wysoki wzrost widziadła, szkaradne rysy i fałszywy uśmiech, i czuł, że mu włosy powstają na głowie. Począł się lękać nie tylko tej osoby tajemniczej i złowroziej, ale tych pustych pokoi i mroku, który je zapełnia... Chciał uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa... Chciał krzyknąć, lecz głos mu zamarł... A tymczasem drzwi wpół otwarte skrzyknęły zlekka i przez szczelinę, między niemi a futryną, zobaczył wyraźniej stare i zleżałe suknie, fałszywy uśmiech i martwe oczy widma...

Zerwał się z jękiem, i zdawało mu się, że dostrzegł ludzką postać, która zamknęła szybko jego kuferek i ukradkiem, przy ziemi, poczołgała się ku pościeli Jędrka. Widzenie to jednak Jaś policzył na karb snu i znowu padł na twardą, poduszkę.

Z rana, gdy chłopcy zasiedli do roboty, poczciwy Jędrus zszedł do sklepu, a Jaś udał się za sprawunkami do miasta, pan Kalasanty, w towarzystwie jednego z czeladników, zrewidował kufarki na strychu, celem wykrycia wczorajszej kradzieży. Poszukiwania te trwały z godzinę, dobry jednak skutek musiał je uwieńczyć — pan majster bowiem, wydając okrzyki podziwu i klnąc na czem świat stoi, szybko zbiegł do sklepu, aby złożyć raport żonie.

Tu zastał Jasia, który w tej chwili wrócił z miasta. Zobaczywszy go, prawie szalony z gniewu, Durski schwycił chłopca za rękę i wrzasnął:

— A tuś mi, złodzieju!... Zato, żem cię na naukę przyjął, żem cię jak własnego syna pielęgnował, tyś mnie na podziękowanie okradł?... Poczekaj!...

Jaś osłupiał, a zdumiona majstrowa zawołała gniewnie na męża:

— Czyś oszalał, stary?... Co ty wygadujesz? Majster ochłonął nieco i rzekł:

— Gadam to, że on nas okradł. Ot — patrzaj, co w jego kufierku znalazłem!.. — I pokazał żonie sklejoną trzyrublowy papierek, tudzież pięcio- i dwuzłotówkę srebrną. Pani Durska aż usiadła na krześle.

— Chryste elejson! — mruknęła — jaki to teraz świat przewrotny!...

Majster znowu zwrócił się do Jasia i podniesionym głosem zawołał:

— Gadaj!... kiedyś ukradł!... gdzie jeszcze dziesięć rubli?...

Jaś schwycił majstra za rękę i patrząc na niego z wyrazem rozpacz, zalany łzami, drżący, mówił wśród łkań, któreby zmiękczyły najtwardsze serce:

— Panie!... panie!... co też pan mówi?... Jabym panu wziął pieniądze?... Ja?!...

— Gdzie dziesięć rubli?... — wrzeszczał nieubłagany majster, uderzając go w twarz. — Gadaj!... bo oddam cię na policję!...

Jaś zaniósł się od płaczu i rozdierającym głosem zawołał:

— Panie!... ja nie wziąłem... jak matkę kocham!... I załamał rękę.

Na tłustym obliczu pani Durskiej znać było powątpiewanie i litość, ale zaciekły jej małżonek nie miał zwyczaju ulegać podobnym słabościom, a widząc, że nie

skutkują ani jego wrzaski, ani bicie, zniżył nagle głos o całą oktawę i już niby spokojnie rzekł:

— Jędreku!... zawołaj stójkowego.

Uczciwy chłopak powoli wyszedł, a Jaś oprzytomniał. Teraz dopiero zrozumiał swoje położenie: posądzono go o kradzież!... W tej chwili stanęły mu w myśli nauki matki, własny jego wstręt do podobnego występku, a wreszcie — widziany przed kilkoma laty obraz grupy ludzi, okutych w łańcuchy i otoczonych przez wojsko. Byli to zbrodniarze, do których obecnie zaliczono jego!...

Coś zamigotało mu w oczach, zaszumiało w głowie... Usłyszał brzęk kajdan i krzyki ulicznych tłumów... Rzucił się ku drzwiom i wybiegł na ulicę.

— Łapaj!... — zawołano.

Jaś wpadł do przechodniego domu, z niego na drugą ulicę i znikł wśród tłumu przechodzących.

Okolo południa do sklepu majstra Durskiego zeszło się mnóstwo osób. Byli tam terminatorzy, czeladnicy, sąsiedzi, którym pan Kalasanty, po raz dwudziesty z rzędu, opowiadał o tem, jak go Jaś okradł, jak dziesięciu rubli nie oddał i jak wreszcie uciekł z domu, niewiadomo gdzie.

W tej chwili wszedł nieobecny dotychczas Panewka, stęskniwszy się widać za robotą, a może i za Jasiem.

— Aha!... Jak się masz, panie Ignacy?... Dobrze się popisał twój metr!... — zawołał majster, i znowu ze wszelkimi szczegółami opowiedział mu o kradzieży, rewizji, o braku dziesięciu rubli i o ucieczce sieroty.

Panewka słuchał go skamieniały. Nagle, potoczywszy wzrokiem po obecnych, pochylił się naprzód. Oczy jego przybrały zielonawo-żółty kolor, a z poza bladych warg ukazały się rzadkie i krzywe zęby.

Zdziwiony majster przerwał opowiadanie, między obecnymi rozległ się szmer, a w tej chwili czeladnik — rzucił się na poczciwego Jędrusia i schwycił go za gardło.

Dobry chłopiec zsiniał, przykląkł i stłumionym głosem (choć go nie pytano) wybełkotał:

— Ja!... ja!...

Zaległa cisza, wśród której słychać było rozmowę na dwa szepty:

— Kiedyś podłożył pieniądze Jasiowi?... — pytał czeladnik.

— Dziś w nocy!... — odpowiedział dobry Jędrus.

— Jakim sposobem ukradłeś?...

— Otworzyłem wytrychem...

— Gdzie reszta?...

— W mojej kamizelce...

Nigdy jeszcze nie widziano tak spokojnego badania i tak szybkiego wyznania. Czelnik po ostatnich wyrazach Jędrusia poszarpał na nim kamizelkę i z za podszewki wydobyl zmiętoszony dziesięciorublowy papierek.

— Czy to ten?... — spytał majstra, rzucając bankocetel na kantorek.

— Jużci, że ten! — odparł nie żartem przelękniony Durski.

— Niechże was Bóg skarze... za to posądzenie... was i dzieci wasze!... — krzyknął Panewka,

Potem, nie patrząc na nikogo, wyszedł ze sklepu, a za nim chyłkiem powysuwali się obecni, przejęci zgrozą.

W sklepie zostały trzy osoby: państwo Durscy i poczciwy Jędrus. Majster, który nigdy nie odznaczał się zbytkiem rozumu, teraz zgłupiał zupełnie. Przeszedł się parę razy po sklepie, marszcząc brwi i stukając w palce, a wreszcie, stanąwszy przed swoją większą połową, zawołał:

— Wiem, co zrobię!

Pani majstrowej źle jakoś z oczu patrzyło w tej chwili, lecz niezrażony majsterek mówił dalej:



— Oto pójdę ich poszukać i obu sprowadzę do domu: Panewkę i Jaśka... Franiu! daj złotóweczkę...

Panią Durską, gdy usłyszała to, według jej własnego zapewnienia, jakby paraliż tknął. Jak się tedy nie zerwie, jak nie hopnie majsterka — raz z lewej strony, jak nie poprawi drugi raz z prawej — aż się zatoczył niebożę!... Potem nie czekając na złotówkę, ani na dalszy ciąg poprzedzającego, schwycił Jędrusiową czapczynę, która mu zastaniała tylko wierzch głowy, wypadł do sieni z wielkim impetem, i nie oparł się aż w bawarji, jeneralnej pocieszycielce strapionych. A pani Durska tymczasem biadała:

— Ach, nieszczęśliwa ja sierota!... Ach, pocóżem ja wyszła za tego birbanta!... Ach, nie lepiejze mi było wyjść za urzędnika pocziwego?... Miałabym już do tej pory ze dwanaścioro dzieci, a tak dwoje, i to lichych, krawieckich!... Ach, matko moja, pocóżeś ty mnie niebogę na ten świat wydała?... Jędrus!

— Słucham pani majstrowej — mruknął podły chłopiec, wyłażąc jak wilk z poza szafy.

— A skocz-no mi po kufelek pi...

W tej chwili spojrzenie jej padło na nikczemnego intryganta. Przypomniała sobie jego zbrodnię, straszną klątwę Panewki i, pochwywszy z wściekłością nożyczki, rzuciła niemi w przewrotnego wyrostka. Ale chłopiec zręcznie się uchylił, a narzędzie śmierci albo kalectwa, z brzękiem; odbiwszy się od ściany, utkwiło ostrzem w podłodze. Majstrowa zaś oparła na kantorku tłuste ręce, na nich głowę i poczęła znowu lamentować :

— Ach, skrzywdziłam sierotę!... Ach, skarże Bóg mnie i moje dzieci!... Czy zwarjował Panewka, żeby tak strasznie przeklinać?...

A tymczasem Jaś biegł, sam nie wiedząc gdzie. Zdawało mu się, że ulice, sanki, ludzie, nawet niebo uciekają przed nim. Dotknięty zarzutem kradzieży, czuł swoją niewinność, a mimo to wstydził się, lękał i rozpaczał. Któż mu uwierzy, choćby przysiągł?... On sam zresztą nie rozumiał, jakim sposobem w jego kufrze znalazły się

pieniądze... Gdy nadejdzie noc, gdzie głowę przytuli, czym zaspokoi głód, który go już zaczął trapić?... Do jednej tylko istoty poszedłby on śmiało, nawet takim obarczony zarzutem... Gdyby jej upadł do nóg i powiedział: „Mamo! ja jestem niewinny!...” — uwierzyłaby mu, a może i ocaliła od kajdan, których złowrogi brzęk nieustannie rozlegał się w jego duszy... Ale matkę przyciska w tej chwili grób; a choć pasuje się z nim, choć radaby biec na ratunek sierocie, nie puszczają jej napół zgniłe deski trumny i ścięty mrozem kopiec ziemi. Bezsilna wówczas, gdy jej syna w imieniu prawa ścigać ma całe społeczeństwo!

## X. DZIEJE LISTU

Powiadasz, mój przyjacielu, że Pan Bóg jest najlepszym dramaturgiem, ponieważ zawsze daje najmniej spodziewane rozwiązanie. Masz rację, i na dowód tego opowiem ci następującą historję.

Nieopatrzony marką list Jasia dość długo wisiał w pocztowej skrzynce, choć był bardzo a bardzo pilny. Przechodziło tamtędy mnóstwo dam, które bawią się tylko dla otarcia łez cierpiącej ludzkości, i z których każda jest tak świątobliwa, że po śmierci wprost z karawanu pierwszej klasy wziętą zostanie do własnego pałacu w królestwie niebieskiem. Żadna z nich jednak nie raczyła spojrzeć na biedny liścik, który w niebogłosość zdawał się krzyknąć, ażeby go wysłano do Wólki! Przechodziły panny piękne jak jagody, a takie dobre, niewinne, miłosierne i wogóle tak doskonałe, że pojawienie się ich robiło dystrakcją wygłodzonym kancelistom pocztowym, że na ich widok pocztyljoni i bryftrygierzy żegnali się, jak przed cudownymi obrazami... Lecz i z nich żadna nie zainteresowała się liścikiem.

Przechodzili tamtędy panowie, starzy i młodzi, w futrach i paltotach, w płytkich i głębokich kaloszach. Ten miał złote okulary, inny laskę z kością słoniową, ów częstował znajomych kilkuzłotowymi cygarami, tamten posiadał kamienicę, a jeszcze inny najlepsze serce w świecie. Wielu z nich było członkami Towarzystwa Dobroczynności, albo Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Wielu troszczyło się o paralityków, lecz list Jasia, oddawna leżący w skrzynce, żadnemu nie przyszedł na myśl.

Nareszcie i on zwrócił na siebie uwagę. Przez dziedziniec pocztowy przesuwiał się codziennie jegomość chudy i łysy, w długim granatowym płaszczu. Zły to był i chytry starzec!... Ilu on panów, co powozami jeździli, wy kierował na dziady; ilu kupców wsadził na Leszno; ile zgubił wdów i sierot; ilu młodym ludziom olbrzymiemi

procentami zwichnął karjery, — o tem dopiero dowiemy się w dzień sądu ostatecznego.

Ponieważ staruszek przez całe życie pisywał listy na koszt, z obawy więc, czy i teraz do którego nie zapomniał przylepić marki, i czy mu go nie odrzuciła poczta, — często zaglądał do szafki. I otóż, w czasie jednej z takich odwiedzin, przeczytał adres:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł.”

Zobaczywszy to, stary aż się zatrząsł z gniewu i uderzając laską w kamienie, mruknął:

— A to dopiero oślisko jakiś!... Chce, żeby mu list prędko doszedł, a marki nie przylepia...

Z temi słowy szybko pobiegł do bramy, lecz tu nagle się zatrzymał i znowu mruknął:

— Dobrze mu tak, niech się pilnuje!...

Ale na środku ulicy Nowo-Senatorskiej znowu stanął i, jakby kłócąc się z kimś, mówił gniewnie:

— A to co nowego?... Ja... ja mam marki kupować dla jakichś tam hołyszów, urwipółciów?... Zjesz djabła, czy ci się uda!

Daremnie się jednak wykręcał, daremnie klął i usiłował biec naprzód! Schwyciła go za kark potężna prawica boża i już z Placu Teatralnego zawróciła na pocztę. Ale lichwiarz jeszcze nie dawał za wygraną i począł się tłumaczyć płaczkliwym głosem:

— Pewnie już niema urzędników na poczcie... Oniby też czekali dla głupiego listu! A czy lichy nadało z tą kanalją?... A czy nie mógłby tego samego zrobić jaki bogaty człowiek?...

Mimo to wracał, choć stękał, i zaszedł do biura, gdzie sprzedają marki. Ach! jakże mu trudno było znaleźć woreczek z pieniędzmi, jak mu się trzęsły ręce, jak ciężko żałował dziesiątczyn... Mimo to — musiał zapłacić, i list poszedł.

Dziwne rzeczy wyrabiasz, o Panie! że, pominąwszy tyle zacnych i wykwinnych osób, do spełnienia sierocej woli użyłeś lichwiarza w wytartym i zabłoconym płaszczu!...

Z tem wszystkim zdawało się, że jakaś klątwa ciąży nad biednym liścikiem Jasia. Po wysłaniu go z Warszawy, zajechał na inną stację, znowu wrócił i dopiero po Bożem Narodzeniu doszedł do właściwych rąk. Akurat w dzień św. Szczepana, około 10-tej wieczorem, gdy dzieci już spały, pani zaczęła nową powieść, a pan Anzelm myślał o niektórych dyspozycjach na jutro, do niskiej jego izdebki wszedł Młynkiewicz, który w tej chwili powrócił z miasteczka.

— Cóż, są pisma? — spytał pan Anzelm.

— A są, i jeszcze list jakiś — odparł ekonom, kładąc na stole sporą paczkę.

Szlachcic wziął przede wszystkim list do ręki, a przeczytawszy adres, wybuchnął śmiechem:

— Także koncepcista jakiś! — zawołał.

— A może to nasz Jaś? — wtrącił półgębkiem ekonom.

— Zapewne, że on!... to tak jakby jego charakter — mówił szlachcic, szybko rozrywając kopertę.

A potem zaczął głośno czytać:

„Kochany panie! Mama chciała sama do pana napisać, ale już umarła...”

— O nieszczęście! — mruknął pan Anzelm.

Szlachcic utarł nos, zaczął szybko mrugać powiekami i stłumionym głosem czytał dalej:

„Już wkońcu była nam taka bieda, że strach!... a mama przed samą śmiercią ciągle wspominała o panu. Teraz jestem u pana Karola, który mię wziął z łaski. Dobrze mi tu, ale tęskno, bo nieraz nie ma człowiek do kogo gęby otworzyć, choć jeść i pić jest co. Z początku mieszkałem z chłopcami, ale potem dali mi osobny pokoik i do stołu niezawsze wołają, to też mi bardzo smutno. Od wakacyj wzięli mię chłopcy

uczyć, ale więcej tam klęczenia i łap dawania, niż tego, co potrzeba. Mają oni fuzję i welocyped, ale mi tego do ręki nie dają, choć ja i niewiele o to dbam, bo wolałbym się uczyć z kim starszym. Najgorzej mi tylko żal, że naskarżyli na mnie z panią przed ojcem, że leniwy i próżniak. Zato pan Karol rozgniewał się i mnie w domu zostawił, choć wszyscy wyjechali na wieś, aż mi się płakać chce...

„Mój kochany panie, niech się pan nie gniewa na mnie za takie brzydkie pismo, ale to nie z lenistwa i próżniactwa, tylko przez złe pióro... Mój kochany panie, co ja mam z sobą robić, kiedy już tak sam zostałem na świecie? Trzebaby mi pójść na własny zarobek, ale nie śmiem podziękować panu Karolowi, bo on zawsze taki, jakby chorował, i ciągle się tylko za głowę łapie. Może jaby tam na wsi przydał do czego, to już i nauce dałbym spokój, aby tylko stąd wyjść.

Całuję ręce i nogi panu i pani, całuję także Antosię i Józia i Manię i Kazię; panu Młynkiewiczowi się kłaniam i Wojciechowi, jeżeli jest, i niech mi pan odpisze, jak się tam powodzi i czy wszyscy zdrowi?"

Następował podpis imienia i nazwiska, tudzież adres. Szlachcic, skończywszy czytać, stanął przed ekonomem i rzucił mu jedno tylko pytanie:

— He?!...

— Wola pańska — odparł osiwiaty ekonom, kłaniając się. — Musi tam być chłopcu okrutnie źle...

— Wydobędziemy go!... — rzekł jakby do siebie Anzelm i począł wielkimi krokami chodzić po pokoju, rozmyślając. — Potrzebuję z pięćset rubli... — szepnął. — Trzeba chłopca tu przywieźć i od wakacyj oddać do szkół.

— Ładny grosz! — mruknął ekonom.

— Mamy przecież trochę zboża na sprzedaż? — spytał pan Anzelm.

— Tak! zboże jest, ale o kupca niełatwo, a przytem to ekstreordynaryjny wypadek... Zresztą i Józia czasby już do szkół...

— Tępy chłopiec! — odpowiedział szlachcic. — On się jeszcze i za dwa lata nie przygotowuje.

Nastało znowu milczenie, które przerwał ekonom:

— Jeżeli taka wola pańska, to pieniądze się znajdują. Przecież tydzień temu pan Adam za cugowe konie dawał akurat pięćset rubli z czemś...

Słowa te podziały na pana Anzelma, jak kubek zimnej wody. Przez chwilę jeszcze się wahał, lecz wkońcu rzekł już innym głosem:

— Niech Młynkiewicz idzie spać.

Potem znowu począł rozmyślać:

— Żal mi wprowadzić chłopca, no! ależ i ja mam obowiązki... Od kwartału jest w domu nauczyciel do Józia, mógłby się więc przy nim trochę poduczyć, ale — ze szkołami ciężka sprawa... Szkoda chłopca!...

Coprawda, pan Anzelm wstydził się nawet przed sobą wyznać, że mu trochę żal było pary cugowych koni, które stanowiły pamiątkę lepszych czasów. Długów teraz nie miał, lecz dla edukacji Jasia musiałby się przez lat parę ograniczać w wydatkach. Rok obecny był wyjątkowo pomyślny i pozwolił mu nawet na kupno żniwiarki, lecz czy tak zawsze będzie?...

Ale z drugiej strony pan Anzelm wiedział, że Jaś jest ogromnie obiecujący, i domyślał się, że pozostając nadal w dzisiejszych rękach, zmarnować się może.

— Szkoda chłopca! — szeptał wzruszony. — No, ależ i ja mam obowiązki, i to ciężkie...

— Podołasz im! — odezwał się jakiś głos.

— Zapewne! — odpowiedział szlachcic — ale w takim razie wolę poprawić byt własnej rodziny. Edukacja chłopca może kosztować z parę tysięcy rubli, lepiej więc to odłożyć dla swoich...

— A co zrobisz dla kraju? — szepnął głos.

Szlachcic na środku swej izdebki stanął struchlały, i jakby pragnąc odegnać trapiące go myśli, spojrzął dokoła siebie. Tym razem wzrok jego padł na trzy odwieczne portrety. Jeden z nich przedstawiał jakiegoś rycerza w zbroi, drugi starca, trzeci matronę.

I otóż zdarzyła się rzecz niesłychana. Portrety te ożyły i poczęły mówić:

— Ja wygrywałem bitwy, a w ostatniej z nich położyłem głowę... — odezwał się rycerz.

— Założyłam szpital i szkołę, w której uczyło się kilka pokoleń... — mówiła matrona.

— Założyłem miasteczko i kilkanaście wsi... — odezwał się starzec.

— A wy coście zrobili?... — pytał głos. — Twój ojciec, goniąc za tytułem hrabiego po niemieckich oberżach, strwonił prawie cały majątek, a ty resztę!...

Anzelmowi kroplisty pot wystąpił na czoło. Odwrócił się od obrazów i chciał usiąść przy biurku, na starym, żelaznym fotelu, obitym skórą. Nagle cofnął się: w tej chwili, pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że niegodzien jest siadać na tem krześle, które zajmowali kiedyś znakomici obywatele kraju i święte matrony.

Tymczasem portrety mówiły znowu.

— Dom mój był przytułkiem inwalidów... — szeptał wojownik.

— Do mego stołu zasiadały sieroty... — mówiła matrona.

— W złych czasach kilka tysięcy ludzi uratowałem od głodowej śmierci i dałem krajowi kilkunastu rzemieślników — odezwał się starzec.

— Twój ojciec wykształcił na użytek ogólny kilkunastu żokiejów i psiarczyków... a ty — furmana i kuchtę, który cię okradł — uzupełnił głos.

— Żokiejów i psiarczyków... furmana i kuchtę!... — powtórzył z goryczą pan Anzelm. — Wartoż było dla tak nędznych rezultatów strwonić majątek, rodzić się z bohaterów i statystów, nosić odwieczne nazwisko i mieć pretensją do tytułu członka



klasy przodującej?... Nie byłem jednak gorszym od innych — szepnął szlachcic, jakby tłumacząc się przodkom, którzy w tej chwili spoglądali na niego martwymi oczyma.

Istotnie! inni nawet psiarczyków porządných nie umieli wykształcić!...

Myśli jego znowu skierowały się do sieroty.

— Dobrze — mówił — więc sprzedam cugowe konie, ograniczę się jeszcze bardziej, spadnę do klasy dorobkiewiczów, ale któż mi zaręczy, że cała moja praca nie pójdzie na marne, że chłopiec nie umrze, albo nie zepsuje się?

— Czyń to, co przypada na ciebie, a o reszcie nie myśl!... — mówił głoś.

I otóż szlachcic zdecydował się. Postanowił powiększyć rodzinę o jednego członka, który go miał najwięcej kosztować. Robił to bez fałszywego entuzjazmu, na zimno, czując, że spłaca dług, nieuiszczony w pomyślniejszych czasach.

Jeżeli mu się Jaś nie uda, wówczas czeka go zawód, pośmiewisko ludzkie, a kto wie nawet, czy nie wyrzuty ze strony własnych dzieci. Ale jeżeli się uda?...

Było to duże ryzyko, lecz nie on pierwszy ryzykował. Jego pradziad kilkanaście razy grał o życie, a choć wkońcu przegrał, zostawił dobre imię. Jego znowu ojciec grał także raz... w djabełka o dwie wsie!

Wybiła trzecia rano, gdy pan Anzelm siadł do pisania listu, a siadł na żelaznym fotelu, który niegdyś zajmowali wojownicy, znakomici obywatele i święte matrony. Czuł on, że jest im równy, choć składa w ofierze tylko ostatnią parę cugowych koni!...

Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba odesłać ten list i konie panu Adamowi — rzekł szlachcic.

— Wola pańska!... — odparł ekonom, a potem spytał: — To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze! — odpowiedział pan Anzelm. Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic znowu został sam, już śmiało spojrział na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra chociaż część skromnych resztek, i on do stołu swego prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu obywatela.



## XI. OPUSZCZONY

Jaś, uciekwszy od majstra, opamiętał się dopiero na Placu Teatralnym. Zmęczenie pohamowało go w biegu, powietrze orzeźwiło. Spojrzał dokoła i zobaczył ludzi zamyślonych, rozmawiających lub uśmiechniętych, którzy szli za swojemi interesami, nie mając zamiaru łąpać go, ani zakuwać w kajdany. Zrobiło mu się jakoś rzeświej i bezpieczniej. Czuł, że w tym miejscu, wobec tylu osób łagodnych, pięknych i dobrze ubranych, majster nie śmiałby go bić i nazywać złodziejem. A zresztą niechnoby spróbował!... Jasiowi przyszedł na myśl goniony przez oprawcę pies, którego uratowali przechodnie. Mielizby ci sami przechodnie być mniej litościwymi dla niego?...

W Saskim Ogrodzie śmiałość jego spotęgowała się jeszcze bardziej. Kto go tu zechce chwytać?... Gzy ten siwy a rumiany pan, któremu z niebieskich oczu patrzy uczciwość?... Czy ta w aksamitnej okrywce dama, której prześliczna twarz tchnie dobrocią?... Czy może ci mali chłopcy, którzy wyglądają tak, jakby się z nim chcieli bawić?... Niepodobna, aby kto zapragnął go skrzywdzić, tu, wobec pogodnego nieba, drzew szronem okrytych, wiecznie zadumanych posągów, i ludzi, przynajmniej napozór, szczęśliwych!

Obszedłszy parę razy ogród, Jaś wydobył się za Żelazną Bramę. Myśli jego uległy zmianie. W miarę oddalenia się od eleganckiej części miasta, spotykał coraz więcej ludzi skromnie, a nawet nędznie ubranych. Twarze były blade i smutne, spojrzenia dzikie, Jaś uczuł głód, a jednocześnie począł się lękać. Zdawało mu się, że każdy przechodzień patrzy na niego podejrzliwie i gniewnie, że wielu ogląda się za nim i wskazuje na niego palcem. Bez uzasadnionej przyczyny obawa jego przeszła w trwogę, w paniczny strach, w rozpacz... Przyspieszył kroku; serce począł mu gwałtownie bić, nie odróżniał już przedmiotów, a instynkt począł go naglić do ucieczki.

Szczęściem, ostatnie błyski rozsądku powstrzymały go, szedł więc zwolna jak automat, potrącając ludzi i ocierając się o ściany domów.

— Patrzcie! — zawołała jakaś kobieta — ten chłopiec musi być pijany, albo ślepy!...

Jasiowi, gdy to usłyszał, zdawało się, że go coś dusi za gardło; lecz i tym razem nie przyspieszył kroku i po upływie kilku minut znalazł się na mniej ludnej ulicy. W jednej z bram spotkał chudą dziewczynę z konewką wody i rzekł:

— Pić!...

Dziewczyna napoiła go i coś mu odpowiedziała z uśmiechem, lecz nie rozumiał jej. Gdy poszła dalej, podniósł głowę machinalnie i zobaczył szyld z napisem:

OCHRONA

Był to przytułek dla dzieci biednych, lecz jeszcze nie tak biednych jak on. Jaś wiedział o tem, zawrócił się więc i powędrował dalej. Dokąd?...

Na Placu Wareckim stanął przed ogromnym szpitalem. Tu chronili się ci, nad którymi ciążyła ręka śmierci. Ponieważ jednak nad nim ciążyło tylko sieroctwo i zarzut kradzieży, spuścił więc głowę i znowu poszedł dalej.

Ponieważ dął mu w oczy ostry wiatr, chłopiec skręcił na lewo i dostał się na uliczkę pustą i spokojną. Stracił już wątek myśli, władzę nad sobą i stał się podobnym do rzeczy martwej, której lada powiew nadaje nowy kierunek.

Na Nowym Świecie zbudził go niezwykle hałas; to gromada ludzi otaczała dwa indywidua, prowadzące pod ramiona obdartego biedaka.

— Co to jest?... — spytał Jaś na los szczęścia.

— Pijanego prowadzą do cyrkułu — odpowiedział ktoś z tłumu.

Chłopiec począł znowu myśleć. Ubogie dzieci mają przytułek w ochronach, chorzy w szpitalu, pijaki w cyrkułach...

Ale gdzież on się pomieści, on, najuboższe dziecko na świecie?... Chyba w więzieniu!

Jaś był bardzo zmęczony; nogi pod nim drżały i ugiwały się, ręce ciążyły mu w bolesny sposób. Czuł głód, lekkie mdłości, morzył go sen, potrzebował spocząć choć na chwilę, lecz nie miał gdzie. Miejsca w ochronach, szpitalach i cyrkułach były zajęte przez innych, a do więzienia nie chciał iść.

W takim stanie umysłu, idąc ciągle naprzód i potykając się na nierównym chodniku, sierota zwrócił oczy na środek ulicy, po której mnóstwo sanek i powozów przebiegało, i — po raz pierwszy w życiu, mając dopiero lat jedenaście, uczuł pociąg do samobójstwa. W tej chwili wyobraził on sobie ból, jakiby mu sprawiły uderzenia końskich kopyt, usłyszał głuchy chrzęst własnych kości, lecz nie czuł trwogi, podobnie jak człowiek, który cierpiąc na ząb, raczej z rozkoszą aniżeli z przestraczem myśli o wyrwaniu go.

Tymczasem powozy i sanki roily się jak muchy wśród lata. Jaś stanął. Jeden z przechodniów zepchnął go ze środka fliz na krawędź, drugi — z krawędzi na ulicę. Zdaleka nadjeżdżały wielkie sanie, ciągnione przez cztery konie. Chłopiec posunął się krok naprzód, machinalnie odwrócił głowę i — ujrzał nad sobą olbrzymią postać obarczonego krzyżem Chrystusa, który pochylił się i wyciągnął ku niemu rękę, jakby mówiąc:

— Co ty robisz?...

Jednocześnie, u stóp męża boleści, który tak dziatki miłował, sierota dostrzegł otwarte drzwi; cofnął się z ulicy i wszedł do podziemnego kościoła. Siedziba umarłych przygarnęła zmęczone dziecko.

Minąwszy wąski korytarz, Jaś dostał się do piwnicy; wyszukał w niej najciemniejszy kącik, usiadł na stopniu zepsutego katafalku i oparł głowę o ścianę. W podziemiu było kilka trumien ze zmarłymi różnej płci i wieku. Najbliżej sieroty leżała jakaś kobieta, nieco dalej mała dziewczynka. Jasiowi przyszły na myśl: matka i Antosia, lecz tylko na chwilę. Wspomnienia te nużyły go teraz, nie miał sił ani chęci zajmować się nimi; natomiast czuł z rozkoszą, że siedzi i że mu jest ciepło. Niebawem zasnął.

Gdy się obudził, uczył pod palcami ręki, opartej na skraju paltota, jakiś przedmiot mały, płaski i okrągły. Ognie uderzyły mu na twarz, odgadł bowiem, że to musi być pieniądz. Istotnie, między syberyką i podszewką znalazł pięć groszy, które Bóg wie odkąd leżały tam, aby zjawić się wówczas właśnie, gdy ich potrzebował najbardziej.

Na dworze zapadał już mrok. Jaś kupił trzy podługowate bułki, zjadł je, popił wodą z wodociągu i znowu poszedł na wędrownkę.

Zrobiło mu to dobrze. Był wyspany i najedzony, dla rozrywki więc począł oglądać sklepy. W jednym widział eleganckie stroje, w innych biżuterje, owoce, zabawki... Najdłużej zatrzymał się przed pewnym handlem korzennym, w którego oknie siedział porcelanowy Chińczyk, kiwający głową i wywieszający język.

Cacko to podobało mu się i począł rozmyślać, jaki mechanizm jest we środku?... Nagle usłyszał śmiech:

— Hę! hę! hę!...

Za nim stał wynędzniały robotnik, który utkwivszy obłąkane oczy w twarz Chińczyka, śmiał się, — ale tak dziwnie, tak strasznie, że Jaś pędem uciekł od okna.

— Dlaczego tylko jemu i mnie podobała się ta zabawka? — myślał chłopiec. — Dlaczego jest tak nędzny, a śmiech jego tak okropny?... Co on dziś jadł, czy także tylko bułki?... Gdzie będzie spał?...

— Gdzie będzie spał... O Boże! a gdzie ja?

I znowu począł się tułać. Stopniowo zamykano sklepy, ruch na ulicach słabnął, światła gasły. Niekiedy na przestrzeni kilkuset kroków słyhać było szybki chód jednego tylko przechodnia, lub ziewanie stróża. Turkot dorożek dolatywał z miejscowości bardzo odległych. Wreszcie wszystko ucichło. Na dalekiej wieży wybiła pierwsza, na całej ulicy świeciło się tylko w dwu oknach.

— Co ja tu pocznę? — szeptał sierota. — Co ja tu pocznę?...

Wzniósł oczy do nieba, które w połowie lśniło się jeszcze od gwiazd, a w połowie gęstymi pokryło się chmurami. Sąż to te same gwiazdy, które widywał kiedyś?...

Wielkie i ruchliwe miasto budzi właściwy sobie rodzaj przestachu w czasie nocy. Jaś uległ tej trwodze tak dalece, że nie śmiał się ruszyć z miejsca; własne kroki przerażały go. Oparł się o słup gazowej latarni i załamawszy drobne rączyny, wyjąkał:

— Jestem sam!...

Przesadzał: w tej chwili bowiem doleciał go jakiś szelest. Szelest ten stopniowo zbliżał się, a niekiedy ustawał... Jaś wyteżył wzrok i dostrzegł — psa, biegnącego środkiem drogi.

Za owym psem, który szukał żeru wśród nocnej pomroki, Jaś przeszedł jeszcze parę ulic. Ściemniło się zupełnie, a chłopca ogarnęła senność. Fizyczne i moralne jego cierpienia dosięgły szczytu; najstraszliwszem z nich było uczucie zupełnej samotności. Wiedział, że nietylko był sam, ale że nadto niema już chyba na świecie tak nędznej jak on istoty.

Lecz omylił się i tym razem. O kilkanaście kroków dalej, przy migotliwym świetle latarni, dostrzegł cień przytulony do muru. Podszedł tam ostrożnie i na schodkach sklepu zobaczył siedzącą kobietę.

— Kto tu?... — zapytał.

— To ja z dzieckiem!... — odparła przestraszona.. — Ja nic złego nie zrobię...

— Nocujecie tu?...

— Tak... odpoczywamy. Do domu daleko. Jaś usiadł przy niej.

— Panicz z tej kamienicy? — zapytała teraz kobieta.

— Nie! — odparł zakłopotany, cichym głosem.

— Może panicz się spóźnił na kolej?... Chłopiec nie odpowiedział nic.

— Jakoś ciepło na dworze — rzekła znowu, a potem oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Dziecko spało ciągle. Jaś dotknął jego nagiej rączki i wstrząsnął się. Była ona tak pomarszczoną i chłodną, jak to pisklę, które niegdyś z jego winy straciło życie.

Teraz przyszło mu na myśl, że go Bóg skarał za śmierć ptaszka. Przypomniał sobie piękne, okrągłe gniazdeczko i mimowoli porównał je z gniazdem łachmanów, na których spoczywało pisklę rodu ludzkiego.

Wkrótce, wśród miasta, na schodach, okrytych zmarzniętym błotem, miłosierny sen, lekarz cierpiących, ukołysał trzy istoty, pozbawione dachu nad głową.

I On także nie ma nad głową dachu,  
Ten, który sobą wypełnia nieskończoność...

Rzecz dzieje się na drugi dzień w południe.

Blżej Wisły, wśród zbiorowiska drewnianych domów, na wielkim podwórzu, widzimy dwie osoby: pewną panią Weronikę i niejakiego Antka.

Panią Weronikę, według jej własnych zapewnień, Bóg stworzył na wielką damę, lecz piorun losu, z wyżyny salonów strącił na skromne stanowisko śmieciarki. Zgodnie z tem ostatniem powołaniem, 50-letnia Weronika dźwigała na plecach wór z konopnego płótna, a w ręku piastowała drewniany ożóg, zakończony wygiętem żelazem, w formie haczyka lub siódemki. Dodajmy do tego wysoki wzrost przy pochylonej postaci, oblicze, noszące ślady walk z przeciwnościami, parę kosmyków siwiejących włosów i garderobę, z której ząb czasu porobił szmaty, — a mieć będziemy dokładny wizerunek damy, wołającej obecnie na podwórzu sopranem, który przypomina operę włoską:

— Koscji!... koscji kupuję!...

Antek, stojący o kilkanaście kroków od niej, jest młodym mężczyzną, mogącym mieć od sześciu do dwudziestu lat wieku. Posiada on eks-wojskowy mundur, któremu można zarzucić zbytek dziur w miejscach niepoplamionych, tudzież brak guzików,



kołnierza i jednej poły. Głowę wdzięcznie przystraja mu fantastyczny garybaldyjski kapelusz, lewą nogę kamasz, prawą but z cholewą. Antek prócz tego jest bardzo mały, chudy i żółty na twarzy, posiada niewiele włosów, nos jak wiśnię i opinją — skończonego łajdaka. Był kiedyś na dobrej drodze i roznosił pisma po domach; od czasu jednak, jak na własny rachunek sprzedał kilka egzemplarzy, a kilkadziesiąt rzucił w rynsztok, literatura straciła w nim pracownika.

Od kilku godzin przyjemny Antek nudził się; najprzód bowiem coś go ckliło we wnętrzu, a powtóre pozbawiony był towarzystwa. Ponieważ duża śmieciarka miała w sobie coś pociągającego, zbliżył się do niej i płaczącym głosem począł mówić:

— Moja pani!... moja złota pani...

Lamentując tak, trzymał ręce w dziurach, pełniących funkcją kieszeni i czochał się plecami o biodro wielkiej damy.

— Czego ty chcesz, śmieciugu? — zapytała dobrotliwie dama. — A gadaj w lewe ucho, bo na prawe nie dosłyszę!

Gdy się schyliła, Antek począł wrzeszczeć na całe gardło:

— Niech mi też pani da tabaki!... moja pani, w złoto okuta!

— A tobie naco tabaki?...

— Bo widzi pani, jak przechodzę koło siódemki, to mnie zaraz kręci w nosie, a nie mogę kichnąć! — wrzeszczał chłopiec, i znowu obtarł się o nią plecami, jeszcze poufalej niż poprzednio.

Na taką impertynencją pani Weronika zakipiła z gniewu i podniosła do góry haczyk, wołając:

— Bodaj cię przejechali! bodajeś zmarniał, ty zdrajco!... kapeluszniku!

— Ihii! — krzyknął przeraźliwie łobuz, usuwając się na bok i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— Siódemka ci w nosie kręci? — mówiła oburzona pani. — A czy ty wiesz, że gdybyś cały leżał w śmietniku, tobym cię jeszcze nie podniosła, łachmanie jakiś!...

— Jaka aksamitna!... — odparł chłopiec, pogardliwie plując przez zęby.

Zobaczywszy to, dama krzyknęła w najwyższym gniewie:

— O Boże miłosierny! a czy już sprawiedliwości niema na tym świecie, żeby taki ochłap uczciwych ludzi zaczepiał na ulicy i jeszcze pluł przez zęby!... Poczekaj, zobaczę ja cię na Starem Mieście, jak cię będą piętnowali, jeżeli cię zamłodu psy nie zjedzą!...

Tak odgrażając się, obrażona dama poszła ku śmietnikowi, Antek zaś, zobaczywszy dużą bryłę piaskowca, usiadł na niej i począł ostrzyć nóż, z wyrazem takiej obojętności i znudzenia, jakiej pozazdrościłby mogli najwięksi panowie.

W tej chwili wszedł na dziedziniec Jaś. Rozejrzał się bojaźliwie dokoła, a spostrzegłszy śmieciarkę, zbliżył się do niej i cichym głosem przemówił parę wyrazów.

— A nie pójdziesz mi tu!... — wrzasnęła nieuspokojona jeszcze dama, rzucając się na sierotę. — Dam ja ci tabaki, aż zgubisz łeb, że ci go nie odszuka sama „Gazeta Policyjna!...”

Przestraszony Jaś począł uciekać, co widząc Antek zawołał:

— Hej tam!... łobuz!... A chodź ino tu!

Jaś niepewnym krokiem zbliżył się do ulicznika i stanął opodal.

— Czego ty chcesz od tej sałaciarki, co jej mąż był maszynistą u Bergera? — spytał go Antek.

— Chciałem prosić, żeby mi dała jaką robotę — odpowiedział Jaś po chwili wahania.

— A skądęś ty się tu wziął? — badał Antek, podejrzliwie patrząc na dość przyzwoite ubranie sieroty.

— Z miasta.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, pytał bowiem dalej:

— Co tobie po robocie?

— Jeść mi się chce.

— Fiu! fiu! — gwizdnął łobuz, a potem dodał: — Mógłbyś przecie sprzedać ten rajtrok, tobyśmy oba mieli jedzenia na jaki tydzień.

— Ja tam wolę robić — szepnął Jaś.

Antek włożył swój nóż do kieszeni i zamyślił się.

— A możebyś ty do mnie poszedł w służbę? — rzekł nagle Antek, patrząc ostro na Jasia.

Zadarł przytem głowę dogóry, ponieważ był od niego niższy.

— A boś ty co za jeden?... — spytał zdziwiony Jaś, uśmiechając się, choć miał ochotę do płaczu.

Pytanie to ubodło widać ulicznika; podrapawszy się bowiem w okolicach kołnierza, odparł z godnością:

— Wiesz ty, sałato, że przez moje ręce przeszło już z dziesięciu takich jak ty durniów? Co ty sobie myślisz?... Tylko się do mnie zgódź, a dam ci jedzenie i takie spanie, że się będziesz pocił w trzaskące mrozy!

— Ha! spróbuję... — rzekł Jaś po krótkim namyśle.

— No, to daj rękę na zgodę! — zawołał ulicznik i, uderzywszy go w dłoń z całej siły, dodał:

— Chodź za mną, a dopiero poznasz, com ja za jeden!... Wyszędłszy stamtąd i wyminąwszy kilka niezabudowanych

uliczek, dotarli do lepianki, otoczonej . zrujnowanym parkanem. Tu Antek kazał zatrzymać się Jasiowi, a sam wszedł na podwórko.

Na podwórku stał wózek, leżała spora kupa piasku, a obok niej, jak żołnierz na warcie, spacerował barczysty mężczyzna, z rudemi włosami, w półkożuszku i z wyrazem filozoficznego spokoju na twarzy, nie odznaczającej się zresztą inteligencją.

Antek skradał się jak wilk, mając widocznie powody unikania tego zbudowanego mężczyzny. Niebardzo też zagłębiając się w podwórze, stanął przy furtce i krzyknął:

— Panie Marcinie!... B o n d z i u r!...

Drab z wolna odwrócił się, uważnie popatrzył na ulicznika i, przesunąwszy czapkę od tyłu głowy ku przodowi, odparł:

— Na jeden bok!...

— A oddał panu ten Walek, złodziej, woreczki? — pytał Antek.

— Tyś sam złodziej! boś mu worki sprzedał za kieliszek wódki, choć były nie twoje.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, który począł ostrożnie zbliżać się ku środkowi podwórza, mówiąc:

— Łże jak pies!... żeby mię Matka Boska skarała... Sam mi wyrwał worki i jeszcze mię tak strzelił pod oko, że musiałem chodzić do doktora... Żeby mię tak choroba tłukła!

Słabo rozwinięty pan Marcin nie wiedział, czy wierzyć, czy nie wierzyć tej dziwnej historii. Antek tymczasem zbliżył się do kupy piasku i, uderzając ją nogą, rzekł z westchnieniem:

— Żeby mi ja tak miał worki... Eh! w mig bym panu sprzedał tę kupkę.

— Daj co w zastaw, to ci worków pożyczę.

— Uu! także się pana Marcina żarty czepiają! — mówił Antek, drepcząc w miejscu i wsuwając ręce w rękawy. — Ja nie mam koszuli, a panu się zastawu żądzi!

— A gdzieżeś ją podział? — spytał ciekawie Marcin.

— Zgubiłem na Krakowskim. Jakim, mówię panu, zdjął paltok, tak ci psia kość spadła na ziemię, żem jej nie mógł napowrót odrychtować. Niech ją choroba tłucze!

Pan Marcin, podrapawszy się w głowę, rzekł:

— Phy!... i worki bym ci dał i piasku zakredytował, żebyś wiedział, że mi nie ukradniesz...

— A mój honor to pies?... — krzyknął obrażony Antek. — Cóż to, czy ja nie miałem interesów z ludźmi porządnymi? O! i jeszcze z jakimi!

— No! no!... — mruknął Marcin i poszedł ku lepiance.

— A i powróż niech pan wytaszczy, bo przecie w pysku nie będę nosił...

— To ty, gnacie, nawet powroza nie masz? — dziwił się Marcin, kręcąc głową.

— Skądże mam mieć?... — odparł ladaco. — Przecie jeszcze nie było licytacji w lombardzie.

W kilka minut potem, pan Marcin, naładowawszy dwa worki piasku, przywiązał je do pleców Antka, którego pożegnał temi słowy:

— A zaprzepać mi co, albo kupuj od innych łobuzów piasek, nie ode mnie, to ci tak podziękuję, że ci zęby za uszami wyrosną!...

— Iiii! — wrzasnął łotr na odchodne, dając jednocześnie hasło Jasiowi.

Gdy tym sposobem wezwany sierota przybiegł, Antek przełożył na niego swoje worki, mówiąc:

— A co, może nie będzie interesu?... Sam djabeł nie odejmie ci tego, co przy mnie zarobisz!...

— Cóż ja mam z tem robić? — spytał zdziwiony Jaś, oglądając się niespokojnie na swoje obciążone plecy.

— Jakto co?... Będiesz za mną piasek nosił, a ja będę krzyczał i jeszcze — będę się frasował o ciebie.

Wkrótce na podwórzach domów, w okolicy Nowego Światu i Alei Jerozolimskiej, słyszano przeraźliwe wołanie Antka:

— Ho — pia!... — pia — łego!... wiślanego! I niepewny głos Jasia:

— Piasku białego!...

Takie były owoce edukacji miłosiernego pana Karola.

W godzinę po odejściu Antka, na Marcinowe podwórze wbiegł jakiś człowiek zziązany, rozgorączkowany i stłumionym ze wzruszenia głosem począł wypytywać piaskarza:

— A nie widzieliście, człowieku, takiego chłopca w czarnym paletocie i w czapce z daszkiem?

— Nie widziałem! — odparł Marcin, robiąc na niego wielkie oczy.

— Ładny taki chłopiec, powiadam wam, cichy... Oj, jakże mi dech zapiera... Jaś mu na imię...

— Ani mi się śniło o takim! — mruknął niechętnie Marcin.

— Jak to może być?... — ciągnął dalej błagalnym głosem przybysz. — Ludzie przecież spotykali go... Tułał się w tych stronach... Alboż ja wiem, może i w Wisłę wpadł!

— Co miał wpaść? Przecież teraz Wisła stoi.

— To prawda! — mówił przybysz. — Pozwólcie mi tu spocząć trochę. Jak to może być, żebyście go nie widzieli?... przecie to taki znaczny chłopiec... Powiedział majster, że go okradł, a onby mu nawet krajki nie wziął... O jakżem się zmęczył!... Jakby tu przyszedł, to spytajcie: czy on Jaś? —

i powiedzcie, że to Jędrek ukradł, i że ja go szukam po całej Warszawie.

— Musi mieć kiepsko we łbie! — pomyślał Marcin, który sam przecie nie odznaczał się genjuszem.

— Powiedzcie mu to, a Bóg wam wynagrodzi...

Z temi słowy zerwał się znowu i pobiegł, jak pies, szukający zgubionego pana. Opuściwszy podwórze, zatrzymał się jeszcze i przez parkan zawołał:

— A nie zapomnijcie, com wam mówił... — Jaś mu na imię!...

Nakrzyczawszy się aż do chrypki i nasprzedawawszy piasku coniemiarą, Antek i Jaś, jego oficjalista, kupili sobie nad wieczorem flaszkę piwa, pełne kieszenie bułek, pół funta lakierosa i weszli w ustronną uliczkę, celem zjedzenia kolacji. Słuszność nakazuje wyznać, że Antek, choć mały, wziął sobie znacznie większą częśćeczkę, oddając Jasiowi resztki. Na deser zaś, począł sierotę obełgiwać:

— Wiesz ty łobuz — mówił — że Marcin, jak się dowie o tem, żeśmy od innych piasek brali, to nam będzie chciał lanie zrobić?... Ale się nie bój, ja w tem jestem!... Ho! ho! mówię ci, że jakbym ja się wziął do niego, toby się jeszcze nie obejrzał, a jużby na ziemi leżał. Ho! ho! ja, mówię ci, tom w bitwie taki zawzięty, jak Żyd w tańcu, a taką, mówię ci, mam moc, żebym zmógł żołdata z karabinem i z pałaszem.

— To czemu ty sam piasku nie nosisz? — spytał Jaś.

— Eh!... bo ja tylko w bitwie taki. A wreszcie, mówię ci, że ja byle jakiej roboty nie lubię się podejmować. Kiedym pisma nosił, to nieraz gadali: „Żebyś ty, Antek, nie był taki złodziej, toby z ciebie było co dobrego!” — alem puścił pisma w trąbę!... To czas zabiera. No, chodźmy na spacer!

I poczęli włączyć się po mieście. Nagle Antek stanął przed kantorem wekslarza i wskazując na garstkę złota za oknem, rzekł:

— Wiesz ty, łobuz, że to wszystko moje?

— At! — odparł Jaś z uśmiechem. — Roi ci się coś po głowie i tyle.

— Ma się wiedzieć, że moje, bo jak zechcę, to ci się nie dam patrzeć.

I powiedziawszy to, Antek odepchnął swego oficjalistę od okna. W Jasiu zawrzała krew, tak więc ścisnęła za kark swego pana, że ten aż się w kłębek zwinął, a uwolniwszy się z trudnością, gniewnie zawołał:

— Uhu!... to z ciebie taki zuch?... Spróbuj się ty tak ze mną jeszcze raz, a dam znać o tobie do cyrkułu, psiawiaro!

Jaś, usłyszawszy to, struchlał. Czuł on, że bezsilny ten chłopiec pobił go dyplomacją, i że wobec niego niczem jeszcze byli: pan Piotr, pan Karol, a nawet majster Durski!

Okolo dziesiątej wieczorem, dwaj chłopcy poszli znowu ku nadwiślańskiej dzielnicy. Tam przeleźli jakąś dziurę w parkanie i o kilka kroków od niej ujrzeli wielką beczkę po cukrze, która leżała poziomo.

— A co?... to ci spanie!... — szepnął Antek, włączając pierwszy do tego osobliwego buduaru.

— Bój się Boga! — odezwał się drżący Jaś — a jak nas tu kto złapie?

— To i cóż?... nic nie ukradłem, nikogo nie zabiłem... Cóż mi kto zrobi? — odparł Antek.

Z ciężkiem sercem Jaś wgramolił się za nim i utonął w starej, napół przegniłej słomie, pośród której znajdowało się wiele innych rzeczy, stanowiących to, co zwykli ludzie nazywają śmieciami.

Wkrótce zmęczenie pokonało wstręt, i Jaś zasnął w barłogu tak spokojnie, jak niegdyś w rozsuwanem łóżeczku, ukołyszany szmerem matczynej modlitwy.

Na drugi dzień, jeszcze szaro było na dworze, gdy obaj chłopcy wymknęli się przez ten sam otwór w parkanie, który służył im za wejście. Idąc pustymi ulicami, Jaś mówił pacierz, a pod wodociągiem umył się; Antkowi wystarczyła czystość— duszy. Potem, tak samo jak wczoraj, Jaś nosił piasek, a przedsiębiorca Antek kupował towar, lub brał go na kredyt ze składów, omijając jednak lepiankę barczystego Marcina.

— Nie chcę się wadzić z Marcinem! — objaśniał Antek. Po posiłku wieczornym, złożonym z chleba, wędzonki

i dwu butelek piwa szlacheckiego po pięć groszy, dwaj mali tułacze zetknęli się z innym chłopcem, Walkiem, który zawołał:

— Chy!... Antek... żebyś wiedział, jak się na ciebie Marcin wygraża!... Mówi, żeś wczoraj wymanił od niego powróż i woreczki, że bierzesz piasek od innych, i że ci tak mordy nakuje, aż wypłujesz parę!...

— Co on tam szczeka! — mruknął pogardliwie Antek, poruszając plecami tak, jakby go przeszły ciarki.

Potem włączyli się we trzech, a gdy zapadła noc, Antek, odzyskawszy dobry humor, krzyknął:

— Chodźta, kundle, na bal do resursy!... — Na jaki bal? — spytał Jaś.



— O Jezu!... — pochwycił Walek — jaki on głupi!... Patrzy na haleganta, a nie wie, że dziś Sylwester.

Gdy stanęli pod resursą, Antek, przysłuchując się dźwiękom muzyki, uрониł następną uwagę:

— To tak na nas tańczą! Żeby nie my, toby w Warszawie nie było żadnego balu.

Powiedziawszy to, schwycił Walek za ramiona i przy melodji kontredansa, począł wywijać szota. Zrobił się rozgardjasz, chłopcy bowiem potrącili jakąś staruszkę, sami o mało nie wpadli koniom pod nogi, i — dostawszy pięścią od milicjanta, a batem od dorożkarza, zabrali Jasia i poszli spać na zwykłą kwaterę. W drodze, jeden z nich zarzucił drugiemu niezręczność w tańcu, w następstwie czego pochwycili się za czupryny. Aż Jaś musiał ich rozbroić.

Gdy doszli do swego podwórka i beczki, Antek pierwszy wsadził tam głowę i ze zgrozą spostrzegł parę zabłoconych butów. Wypadek ten takim gniewem napełnił ulicznika, że, zapominając o potrzebie ostrożności, wrzasnął:

— Co tu jest?... Wyłaż stąd, łobuzie!...

— Cicho! cicho!... — ostrzegł go Walek.

— Co mam być cicho?... — krzyczał ulicznik. — Skąd on się tu wziął?... Jak się rozgniewam, to pójdę na policję, żeby do cyrkułu zaprowadzili tego złodzieja.

Para butów poruszyła się leniwie, a w głębi beczki rozległ się głos:

— Nie zaczepiaj, pókim dobry!...

— To pijak!... — szepnął Walek.

— Co z tego, że pijak!... Niech nie zabiera cudzego mieszkania, złodzieisko! — mówił Antek, chwytając najeźdźnika za nogi.

W tej chwili jeden z ogromnych butów, zakreślając w powietrzu łuk, otarł się o wyszarzany surdut Antka tak energicznie, że chłopiec zatoczył się.

— To ci go przeżegnał, o Jezu!... — mruknął Walek.

W becze wciąż chrapało. Antek odprowadził Walka na bok i szepnął mu coś do ucha. Potem obaj zbliżyli się ostrożnie do beczki, schwycili ją za krawędzie i z ogromnym wysiłkiem podnieśli ją do góry.

Śpiący najezdnik znalazł głowę swą w pozycji, w której zwykli ludzie utrzymują nogi.

— Ollaboga! — stęknęło w becze, a jednocześnie dwa urwisy poczęli się drzeć w niebogłoty:

— Złodziej!... złodziej!... — Z beczki wtórował im gruby głos:

— Ollaboga!... Ratunku!...

Teraz trzech chłopcy uciekli za parkan. W lepiance zapłonęły światła, a na podwórzu wybiegli ludzie z kijami, dążąc ku becze, z której ciągle rozlegały się okrzyki i kołatania.

Noc tę, pełną wrażeń, Jaś i jego towarzysze spędzili pod jakąś szopą, na belkach.

— To tak jakbyś spał w karecie! — mówił Antek. Nadszedł ranek Nowego Roku. Antek, który równo ze

świtem zapomniał o bezsenności i trudach, utworzył radę wojenną:

— Oto co dziś, to użyjemy — mówił. — Będziemy chodzić z powinszowaniem. Ty, Walek, pójdz ze mną, a ty, Jasiek, daj mi swój paltok i czapkę.

— A w czymże ja zostanę?... — spytał oburzony Jaś.

— W moim surducie! Cóż to, może nie porządny? — ciągnął dalej, wskazując na cały rękaw. — No, zdejmuj, bo jak nie, to... pójdę do cyrkułu i zaraz powiem, coś ty za jeden!

Napróżno biedny Jaś groził i prosił! Nie pomagało nic. Nikczemny Antek zdarł z niego prawie gwałtem palto, spodeńki i buciki, i ze złośliwym śmiechem rzucił rzewnie płaczącemu swoje ohydne łachmany. Wkońcu zapowiedział mu, aby nad wieczorem czekał go na Obożnej ulicy, obok szynku.

Leniwie i wśród najczarniejszych myśli zeszedł nieszczęsnemu sierocie smutny dzień, w którym za cały pokarm miał zeschniętą skórkę chleba. Na umówionym miejscu Antek zjawił się dopiero około siódmej, a choć nic Jasiowi do jedzenia nie przyniósł, sam jednak był nadzwyczaj wesoły, ba! nawet dobrze pijany.

— Mówię ci — prawili ten łotr — poszło mi jak po mydle!... Wszędziem gadał, żem z „Kurjera...” Bo widzisz, zabrałem ci na drodze jednemu łobuzowi powinszowania... Mam nawet jeszcze...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem dwie jakieś olbrzymie ręce chwyciły go i uniosły w powietrze.

— Gwałt! ratuj, Jasiek!... — wrzeszczał Antek. — Oj, damże ja ci teraz! — mówił napastnik.

— Mój panie Marcinie! mój święty panie Marcinie! — wołał łobuz, zanosząc się od płaczu.

— A masz worki!... a masz powróż! a masz piasek!... A nie mań ludzi uczciwych!... a nie kradnij, co nie twoje!...

Każdemu z tych wysoce moralnych napomnień towarzyszył świst jakoby rzemienia i kłaśnięcie podobne do tego, jak gdyby rzemień stykał się ze skórą Antka. Trwało to dobry kwadrans, z niewielkimi przerwami.

Tymczasem Jaś, zobaczywszy, o co chodzi i poznawszy, w jaki sposób wałą piaskarze, uciekał pędem w stronę Krakowskiego Przedmieścia, wyprzysięgając się służby u Antka, noclegu w beczce, a nawet swego ubrania. Teraz już nie wiedział, co się z nim stanie, lecz wołał raczej więzienie i śmierć, aniżeli stosunki z indywidualiami podobnymi do Antka.

Od kilku dni termometr trzymał się powyżej zera, na dworze było dość ciepło, śnieg i lód stopniał. W tej samej godzinie, w której Jaś uciekł od Antka, na miasto opadły kłęby par. Światła latarni wśród wilgotnej i niebieskiej mgły podobne były do

zawieszonych w powietrzu czerwonych płomyków, a przechodnie wyglądali jak cienie. Na ulicach, z powodu Nowego Roku, ruch był niewielki i jeszcze się zmniejszał.

Około dziesiątej mgła podniosła się do góry, a jednocześnie zaczął padać deszcz, który stopniowo stał się bardzo obfitym i gwałtownym. Rynsztoki nabrzmiały, i niebawem całą szerokością ulic zaczęły płynąć strumienie rzadkiego błota. Ludzie najedzeni i dobrze ubrani czas ten nazywali szkaradnym — dla obdartych i głodnych był on strasznym.

Od początku deszczu Jaś dostrzegł, że kapelusz i surdut Antka, jakieś twarde dotychczas, robiły się coraz miększymi. Z pociętego ronda woda zaczęła mu spadać na ramiona. Nagle uczył na karku wielką kroplę deszczu, a gdy się wstrząsnął i ścisnął łopatki, kropla ta spłynęła mu na plecy. Z drugiej strony, mokre ubranie przyłgnęło mu do całego ciała, a dziurawe buty napęliły się błotem.

Wtedy przebiegł go lekki dreszczyk...

Deszcz tymczasem wzrastał się ciągle, wiatr miotał nim na wszystkie strony; na kamienicach od dachów do podstaw porobiły się wilgotne smugi, ulice znowu opustoszały i zamarły. Jaś zaczął biegać od bramy do bramy, od framugi do framugi, szukając schronienia przed deszczem, który prześladował go z zaciętością żywej i złośliwej istoty.

— O Boże! ratuj mnie... — szepnął chłopiec, zakręcił się parę razy w kółko i znowu popędził naprzód.

Zdawało mu się, że po tem, czego dotychczas doświadczył, nie spotka już rzeczy gorszej. Obecnie jednak położenie było gorsze od wszystkich poprzednich. Nie chodziło już o ucieczkę przed ludźmi, ale przed naturą. Biegł, nie wiedząc gdzie, ścigany od deszczu, głodu i niedospanej nocy.

Około pierwszej, zmordowany bezużyteczną gonitwą, rzucił się na jakieś schodki. Trapiło go takie zimno, że zębami szczękał, a głowa mu pałała. Uczuł zawrót,

ociężałość i wpadł na chwilę w stan bezwładu, środkującego między snem a zemdleniem.

Gdy wrócił do przytomności, zadziwił się, poznawszy, że cierpienia jego ustały. Miał tylko język suchy i bardzo spieczone usta, lecz zarazem czuł jakiś błogi spokój i swobodę umysłu. Chwilami nie wiedział, gdzie jest, chwilami sądził, że jest jeszcze w domu matki. Maszyna znowu jak kiedyś turkotała, i lampa świeciła jak dawniej.

To nie lampa, tylko latarnia uliczna; to nie turkot maszyny, tylko hałaśliwy szmer wody, spadającej w kanał!

Jaś przetarł oczy, patrzył z uśmiechem na padający deszcz, na bystre potoki wody, i znowu począł marzyć. Zdawało mu się, że słyszy klekot młyna i przypomniał sobie, że w jednym z ogrodowych krzaków ma schowaną wędkę.

— Pójdę łapać ryby do stawu... — rzekł. Świadomość znowu ostrzegła go, że to nie młyn klekocze.

Lecz gorączka pokonała świadectwo zmysłów. Otóż i ogród: jak tu pachnie!... Wszystkie drzewa okryte są kwiatami, a ścieżki suchym żwirem. Słońce pali tak, że Jaś jest cały mokry i musi oczy zamykać przed blaskiem...

Gdy się ocknął, dostrzegł gazową latarnię i przekonał się, że migotliwy jej płomień drażni go. Zdawało mu się, że się cofa przed nim i kryje w lochu, w którym gospodyni utrzymywała mleko w hładyszkach. W piwnicy tej znalazł wszystkie dzieci: Antosię, Manię, Kazię i Józia. Ucieszył się tak, że aż klasnął w ręce, lecz zarazem przekonał się, że go nie widzą.

— No, nie udawajcie... nie sprzeciwiajcie się! — zawołał. — Lepiej dajcie mi trochę mleka, bom ogromnie zmęczony!...

Ale dzieci nie słyszały go i wybiegły z lochu, a on za nimi. Obojętność ich tak go rozżaliła, że się chciał poskarżyć przed matką; począł więc jej szukać, wołając:

— Mamo! mamó!

Ale i matka uciekała przed nim i kryła się, że jej żadną miarą nie mógł dostrzec. Gonił ją ta wprawiała go nieledwie w szal; wyciągnął ręce i rzucił się naprzód.

Gdy mu wróciła przytomność, poznał, że jest na ulicy, i że deszcz cokolwiek się zmniejszył. Przypomnił sobie marzenia, lecz nie mógł pojąć co to znaczy, ani zrozumieć, czy jest tym samym Jasiem, który biegał kiedyś po ogrodzie i łąkach, uciekł od Durskiego i został obdarty przez Antka? Czuł, że stało się z nim coś nadzwyczajnego i że grozi mu jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Nagle przyszedł mu na myśl wyraz: śmierć...

Śmierć w nocy, wśród pustego miasta, pod chmurem niebem, na błocie, zdala od wszelkiej żyjącej istoty, z którą mógłby się pożegnać, lub przynajmniej rzucić na nią ostatnie spojrzenie, jakaż to straszna rzecz!... Dokoła niego jest tylu ludzi, a żaden ani pomyśli o tem, że o parę kroków nędzne dziecko ma umrzeć!...

Ogarnęła go rozpacz; chciał pukać we drzwi i wołać:

„Zlitujcie się!...” Po chwili jednak uniesienie przeszło, a Jaś ruszył dalej i począł mówić podniesionym głosem:

Kto się w opiekę podda Panu swemu...

Stracił on już poczucie bytu. Myśl zwróciła się ku Bogu i matce, a sztywniejące nogi niosły go gdzieś... Gdzie?... Zapewne do ciemnej krainy, z której nikt nie wraca.

Bez planu i wiedzy znalazł się w Alejach Jerozolimskich i szedł środkiem drogi, ku Wiśle.

Zdawało się, że niebo leje łzy nad tym żyjącym atomem, który, jak umiał, polecał Stwórcy duszę, pełną żalu i niewymownej trwogi.

## XII. PRZYJACIEL

Pan Anzelm stanął w Warszawie w wigilią Nowego Roku. Wynajął pokój w hotelu Polskim i nie tracąc ani chwili czasu, poszedł do domu, w którym, według słów Jasia, powinien był rezydować opiekun sieroty.

— Czy tu mieszka pan Karol? — zapytał szlachcic stróża, zatrzymując się w bramie.

— Tu, na pierwszym piętrze, ale musi go niema, bo dopiero co wyszedł.

Szlachcic sięgnął do portmonetki, a stróż zdjął czapkę.

— Nie wiesz, mój przyjacielu — mówił dalej szlachcic — czy u pana Karola jest taki mały chłopiec, Jaś?...

— .. Aha!.., to ten, co mu matka w lecie z głodu umarła?... Był on tu, ale teraz jest u krawca, u Durskiego, i nawet nigdy u pana nie bywa.

Usłyszawszy o śmierci z głodu, pan Anzelm wstrząsnął się. Potem zapytał stróża o adres krawca, dał mu dwa złote, i gniewny, kazał się wieść w okolice Starego Miasta.

W magazynie ubiorów męskich znalazł tylko jejmość panią Durską. Gdy ją zapytał o Jasia, tłusta dama, załamując krzyknęła:

— Ach, mój panie serdeczny! także pan trafił... Imaginuj pan sobie, że ten łajdak Jędrek, o ten, co się za szafę chowa, okradł nas, a mój stary — posądził Jasia! No, i wyobraź pan sobie, że biedny chłopiec uciekł!... A takim go kochała! Przepadałam za nim, mówię panu!...

— Mniejsza o to — przerwał szlachcic, oblewając się rumieńcem — ale gdzie on jest teraz?...

— Otóż to, że nie wiemy, drogi panie! — jęknęła przestraszona majstrowa. — Albo ja wiem?... może się zabił, a może się zastrzelił?!...

— A do stu tysięcy djabłów!... — krzyknął rozgniewany szlachcic, tupnąwszy nogą. — To wy się tak opiekujecie sierotami w Warszawie?...

— Ach, dobry panie!... ach, szlachetny panie!... — lamentowała biedna majstrowa, patrząc z trwogą na sękaty kij gościa. — Ach, to ten mój... niby mąż winien, a nie ja nieszczęśliwa!... Z innej ja pochodzę kondycji, drogi panie, i mogłam wyjść za urzędnika...

-- Gdzież więc mąż pani?! — wrzasnął szlachcic, uderzając kijem o podłogę.

— Ach!... pobiegł przecie szukać Jasia i tego łajdaka Panewkę... Jędre! a skoczno po kuf... po pana, chciałam powiedzieć...

Łotr szybko rzucił się do drzwi, i za chwilę sprowadził majstra, który stawiał nogi w sposób bardzo niepewny, miał niezwykle bladą twarz i jak zwykle nos amarantowego koloru.

— Gdzie Jaś?... — zapytał krótko pan Anzelm. Durski spojrzął na wylęknioną żonę, zachwiał się na nogach jeszcze bardziej i odparł z rezygnacją:

— Uciekł, panie! choć go kochałem, jak rodzzonego syna... Teraz szukam go, panie, po całych dniach, ale... że trzech kupców petersburskich spotkało mnie tu, naprzeciw w bawarji, więc...

— Zapłacę ja wam, poczciwi opiekunowie! — mruknął Anzelm i wybiegł ze sklepu, trzaskając drzwiami.

— Spóźniłem się!... Bóg widać pogardza moją ofiarą! — szeptał szlachcic, biegnąc do ratusza.

Gdy przybył tam i zażądał, aby szukano Jasia, jeden z urzędników rzekł:

— Chłopca tego już szukają. Wczoraj był tu jakiś Panewka i zostawił szczegółowy rysopis. Twarz okrągła, włosy blond... Ubrany był w czarne palto, czapkę z daszkiem... Znaków szczególnych nie miał żadnych.

— Mnie tam nie chodzi o znaki szczególne, tylko o chłopca!... — odparł szlachcic, i obiecawszy nagrodę temu, kto znajdzie Jasia, poszedł dalej, mrużąc:



— Ciekawym, kto jest ten Panewka?... Jakiś z niskiej klasy, ale uczciwy.

Zkolei pan Anzelm począł obchodzić kościoły, żądając, ażeby z ambon ogłoszono o zaginięciu chłopca imieniem Jaś, ubranego w czarne palto i czapkę z daszkiem. Księża z uprzejmością uwzględnili to żądanie, dodając od siebie, że już o to samo byli proszeni przez jakiegoś niskiego człowieka z wielką głową.

— To musi być sprytny człowiek! — myślał pan Anzelm o Panewce, nie wiedząc, że ten człeczyna — kraje jak Szabu, a głupi jak but!...

Wróciwszy do hotelu, pan Anzelm rzucił się na łóżko zmartwiony. Czuł on, że po nitce litości wkradło się do jego serca wielkie przywiązanie do sieroty.

2-go stycznia, około jedenastej w południe, dano znać panu Anzelmowi, że Jaś znalazł się i że jest w ratuszu. Szlachcic w parę minut stanął w kancelarji.

Tu zastał jakiegoś robotnika, starą kobietę, komisjonera i stójkowego, którzy otaczali chłopca ubranego w czarny paltocik. Anzelm spojrział mu w oczy i osłupiał:

— Jak ci na imię? — spytał to indywidualium.

— Jaś, proszę pana... żeby mię tak cholera zatłukła!... — odpowiedział chłopiec z wiśniowym nosem i kilkoma sińcami na twarzy.

Szlachcic nie wiedział co myśleć. W tej chwili jednak zbliżył się do ulicznika jakiś stary policjant, popatrzył mu bystro w twarz, a następnie, odchyliwszy kołnierz paltota i przeczytawszy na podszewce etykietę: „Kalasanty Durski w Warszawie”, rzekł:

— No, gadaj prawdę, tyś okradł tego małego!...

Anzelm upadł na krzesło, a tymczasem chłopak wrzaskliwym głosem odpowiedział:

— Nie okradłem... jak Boga kocham! On mi sam ten paltok darował... żeby tak w ziemię wrósł!... On przecie służył u mnie, niech sam powie... Karmiłem go, jak własnego syna... Ale jakeśmy się pobili z Marcinem, wczoraj wieczór, tak on, psia kość, wziął i uciekł!... Żeby tak skonania nie doczekał!...

— No, a dlaczego ty się Jasiem przeżywasz, kiedy ty jesteś Antek? — badał dalej policjant.

— To też Antek!... przecie mówiłem, że Antek...

— Co ty tu będziesz łągał, łotrze!... wszyscy słyszeli, żeś się nazywał Jasiem!...

— Ehe!... — odparł zadziwiony ulicznik — kiedy tak, to pewnie musiałem zapomnieć!...

Ponieważ Antek był dobrze znany policji, przyniesiono więc jego stan służby, z którego dowiedziano się, że ulicznik był już kilkanaście razy pod aresztem. Raz — za to, że dmuchał w rurki wodotrysku przed pocztą; drugi raz, że wybił kamieniem szybę w omnibusie; dalej zato, że okradł pudła i zabrał mu obrożę i kaganiec; potem zato, że się nieobyczajnie zachowywał na ulicy, że ukręcał mosiężne klamki i że z jakimś żołnierzem zrobił awanturę w szynku... Panu Anzelmowi stanęły włosy na głowie, gdy porównywał mały wzrost ulicznika z ogromem jego występków!

Skutkiem tego, robotnik, stara kobieta, komisjoner i stójkowy, którzy znaleźli ulicznika, odeszli z kwitkiem.

Prawie w tej samej chwili, przyniesiono panu Anzelmowi dwie wiadomości. Pierwszą, że poczciwy Jędrus, terminator Durskiego, oskarżony o okradzenie majstra, zajął już w ratuszu lożę obywatelską, od strony Danielewiczowskiej ulicy. Druga wiadomość była gorsza: ktoś bowiem doniósł, że Jaś musiał się utopić, ponieważ w tym czasie, kiedy pękły lody na Wiśle, słyszano krzyk.

Na prośbę pana Anzelma, celem sprawdzenia wieści, rozesłano telegramy na wszystkie strony miasta, i okazało się, że lody na Wiśle pękły pomiędzy Warszawą a Pragą, i że o tej samej porze usłyszano krzyk za Wolskimi rogatkami. Sprawdzone też, że krzyk ów nie pochodził z ust topiącego się Jasia, ale z piersi niejakiej Magdaleny Robaczek, pobitej przez męża, Walentego Robaczek, wyrobnika, który odznaczał się zamiłowaniem w nietrzeźwości.

Gdy wszelkie wątpliwości zostały rozjaśnione w zadawalający sposób, zdesperowany szlachcic opuścił ratusz i bez celu tułał się kilka godzin po ulicach. Przeszedł Stare Miasto, był na Nowym Zjeździe, zwiedził warszawski brzeg Wisły, a wreszcie, około szóstej wieczorem, zawrócił do hotelu.

Gdyby w tej chwili uważniej spojrzął dokoła siebie, dostrzegłby wynędzniałego chłopczykę, który drepcząc nogami i chuchając w skostniałe ręce, zabiegał mu to z prawej, to z lewej strony i zaglądał w oczy, z wyrazem nieopisanego niepokoju.

Ale pan Anzelm nie uważał i zamyślony szedł dalej. Wyminął kilka ulic, dotarł do hotelu, wdrapał się chwiejnymi krokami na schody i otworzył swój numer.

W chwili, gdy zapaliwszy świecę, zwrócił się ku otwartym drzwiom, aby je przytknąć, zobaczył jakąś kupkę drżących łachmanów, które padły na ziemię i oplątały mu nogi. Jednocześnie uczył, że ktoś całuje mu kolana i, wśród jęku i szlochań, usłyszał wyrazy:

— Panie mój!... panie!...

Szlachcicowi serce bić przestało. Porwał dziecko w objęcia, podniósł dogóry, przypatrzył się mizernej twarzyczce i zawołał:

— O dziecko, ileś ty mi narobił zmartwienia!...

Jaś to był, obdarty, zmęczony i głodny. Lecz kto go aż tu doprowadził?...

Chyba Ten, który przylatującym bocianom i jaskółkom wskazuje niezawodną drogę...

3-go stycznia, jeden z terminatorów Durskiego spotkał na ulicy Panewkę w stanie opłakanym. Czeladnik był pijany tak, że ledwie się trzymał na nogach.

— Co panu jest?... — krzyknął zdumiony chłopiec, ujrawszy go.

— Idź do diabła!... — mruknął Ignacy.

— A pan wie, że Jaś się wczoraj znalazł?... — Go ty gadasz?...

— A tak, znalazł się i jest u jednego szlachcica w hotelu Polskim — odparł terminator.

Panewce zabłyszczały oczy. Otrzeźwiało, wyprostował się i pędem pobiegł do hotelu, a spotkawszy przed bramą szwajcara, rzucił się do niego z pytaniem:

— Gdzie Jaś?... gdzie ten chłopiec, co to go wziął jakiś szlachcic?...

— A acanu co do niego?...

— Powiedźcie, gdzie on?... — błagał Panewka, chwytając szwajcara za rękę.

— Już wyjechali na pocztę z tym panem! — odparł obrażony oficjalista, chcąc jak najprędzej uwolnić się z uścisków niezwyklego interesanta.

Czeladnik pędem ruszył przez ulicę Miodową. Gdy wszedł na Kozią, usłyszał za sobą dźwięk trąbki. Obejrzał się. W tej chwili przejechała pocztowa kareta, w głębi której zobaczył — bladą twarz Jasia.

Teraz Ignacy zebrał wszystkie siły i począł biec cwałem; odtąd już odległość między nim a ciężkim powozem nie zwiększała się, w każdym jednak razie wynosiła kilkadziesiąt kroków.

— Nie dognam go! — mruknął Panewka, czując, że lada chwila padnie.

Przy moście, z powodu ścisku, kareta zwolniła bieg. Panewka zbliżył się do niej na kilkanaście kroków i zawołał z całej mocy:

— Jasiu!... Jasiu!...

— Nie trzeba krzyć po ulicy! — ostrzegł go jakiś urzędowy głos.

Czeladnik wpadł na most i jeszcze przez kilkanaście sekund pędził, wołając:

— Jasiu!... Jasiu!...

Nagle kareta ruszyła prędzej, Panewka stracił siły i zziębnięty — patrzył na oddalający się powóz.

— Nawet nie spojrzął na mnie... — szepnął z żalem. On także był sierotą.

Warszawa 1876 w grudniu.